Nr. 15. Poznań, dnia 12 Kwietnia 1908 r. Rok XII.

Abonament
wynosi kwartalnie:
na poczcie . . . 1.50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen

Paragraf siódmy przyjęty.

Stało się, co wszyscy nieuprzedzeni znawcy liberalizmu przewidywali. Parlament niemiecki przyjął antypolska klauzulę językową,

Brzmi ona, jak niżej:

„Rozprawy na zebraniach publicznych mają się odbywać w języku niemieckim.

Przepis ten nie stosuje się do kongresów międzynarodowych ani do zebrań wyborców w celu przeprowadzenia wyborów do parlamentu i do ustawodawczych zebrań państw związkowych i Alzacyi i Lotaryngii od dnia urzędowego ogłoszenia dnia wyborów do ukończenia akcyi wyborczej.

Dopuszczenie dalszych wyjątków reguluje ustawodawstwo krajowe. Jednakże w dzielnicach kraju, w których w czasie nastania prawomocności niniejszej ustawy znajdują się od dawna zasiedziałe części ludności nie-niemieckiego języka ojczystego, o ile te części ludności według wyniku każdorazowego ostatniego liczenia ludności przenoszą **60 procent** ogółu ludności, jest przez pierwsze **20 lat** po rozpoczęciu prawomocności niniejszej ustawy dozwolone także używanie języka nie-niemieckiego, jeżeli urządzający zebranie publiczne przynajmniej w trzy razy 24 godzin przed jego rozpoczęciem doniósł władzy policyjnej, że i w jakim języku nie-niemieckim rozprawy mają się toczyć. O doniesieniu tem ma władza policyjna natychmiast udzielić bezpłatnego poświadczenia. Za dzielnice kraju uważa się obwody niższych władz administracyjnych.

Dalej dozwolone są, o ile ustawodawstwo krajowe nie przepisuje czegoś innego, wyjątki także za pozwoleniem władzy krajowej.“

Po ośmiogodzinnej ostrej szermierce, po wysłuchaniu wszelkich za i przeciw przystąpiono do głosowania.

Ogółem 378 posłów (tylko 20 brakowało) brało udział w głosowaniu. Z tych 196 głosowało za wywłaszczeniem językowem, 177 przeciw. Trzech posłów (antysemita von Damm i konserwatyści Feldmann i von Treuensfels) wstrzymało się od głosowania. Dwa głosy były nieważne.

Klauzula językowa została przyjętą przez większość przedstawicieli narodu niemieckiego, to znaczy przez większość Niemców.

Nie ma czego obwijać w bawełnę: większa połowa niemieckiego narodu stanęła z nami do otwartej walki i opowiedziała się przeciw równouprawnieniu języka polskiego z niemieckim w towarzystwach i zebraniach publicznych.

Na to należy położyć przycisk. Z tem się na przyszłość liczyć należy.

* * *

Liberalizm niemiecki rzeczywiście przeszachrował swe zasady za miskę soczewicy łaski rządowej. Z wolnomyślnych tylko posłowie Potthoff, Dohrn, Naumann-Hofer i Haussmann głosowali przeciw antypolskiej klauzuli, poseł Gothein nie wziął udziału w głosowaniu wskutek choroby.

Wolnomyślnych Niemców, broniących zasadniczo spraw naszych w liberaliźmie niemieckim już nie ma. Czterej wyżej wymienieni — to wyjątki, które potwierdzają normę. Pierwszy krok uczyniony. Dalsze nastąpią. Nie ma się co łudzić.

* * *

Przeciw paragrafowi siódmemu głosowali oprócz posłów polskich: centrowcy, socyaliści i nieliczni przedstawiciele ludności obcojęzycznej. Ogółem biorąc, po naszej stronie z Niemców stanęli tylko centrowcy, a więc przedstawiciele katolickiej ludności Niemiec i socyaliści, czyli przedstawiciele bezwyznaniowego i kosmopolitycznego do pewnego stopnia niemieckiego świata robotniczego. Przedstawiciele protestantów niemieckich oświadczyli się przeciwko nam.

Ponieważ i centrowcy w znacznej części reprezentują robotnika niemieckiego, można powiedzieć, że za nami stoi porówno z katolicką ludnością Niemiec głównie lud niemiecki. Wyższe warstwy zwróciły się przeciw nam.

* * *

Liberalizm zawiódł nas na całej linii. Zawiódł nas w sejmie. Zawiódł w parlamencie. Okoliczność, że wolnomyślni piorunowali w sejmie przeciw wywłaszczeniu, wobec postępku ich w parlamencie nic nie znaczy. W sejmie tylko gadali, bo to robiło dobre wrażenie, a nic nie kosztowało. W parlamencie zaś działali i — ut figura docet — na niekorzyść naszą. Zresztą, jeżeli twierdzimy, że liberalizm zawiódł nas w sejmie, nie mamy na myśli izby posłów, gdzie był bez wpływu, lecz izbę panów, gdzie w postaci burmistrzów i profesorów rozstrzygał. Jak tam ci przedstawiciele liberalizmu niemieckiego sobie poczynali, wszystkim wiadomo. Nie kto inny, jak oni, przechylili szalę, na której ważyła się sprawa wywłaszczenia, na korzyść rządu.

Liberalizm nie ma żadnych zasad. Albo dokładniej się wyrażając: ma zasady od parady. Zresztą kieruje się zwykłym handlarskim oportunizmem, byle interes szedł.

* * *

Możnaby wypowiedzieć tu ostrą filipikę przeciw liberalizmowi wogóle, a niemieckiemu w szczególności. Szkoda jednak na to czasu i atłasu. Bywał on ostatniemi czasy tak dosadnio mieszany z błotem i to nawet przez własną prasę partyjną, że tracić w tej mierze jeszcze więcej słów byłoby zanosić sowy do Aten. Co było do powiedzenia, wszystko powiedziano. Możnaby tylko powtarzać to, co inni już powiedzieli Oryginalnym być — prawie już niepodobna.

* * *

Doświadczenia ostatnich czasów pokazały jasno, że dla nas może być oparcie (jeżeli po za sobą za oparciem się rozglądać chcemy) tylko u katolickich żywiołów w Niemczech, mówiąc krócej: u partyi centrowej. Wspólność wiary, wspomnienia wspólnych walk za czasów kulturkamfowych, wielkie pokrewieństwo socyalnego programu obu partyj itd. wszystko to rzeczy ważne i doniosłe.

Nas w Niemczech bije pogański nacyonalizm niemiecki. Przesiąka on do coraz szerszych warstw społecznych i z poprawą ekonomicznych stosunków dotrze także do robotnika, słuchającego obecnie komendy socyalistycznej. Protestantyzm, humanitaryzm, bezwyznaniowość nie tworzą żadnej broni przeciwko bestyalizmowi nacyonalistycznemu. Wszelkie teorye, oparte o ziemię i o człowieka, są nie tylko niepodatną bronią przeciw nacyonalizmowi, lecz stanowią drogę wiodącą doń nieprzeparcie. Tego uczy historya, patrzymy zresztą na to własnemi oczyma.

Tylko idealizm uporządkowany, taki, jaki daje dobrze pojęty katolicyzm, może być i jest ostoją przeciwko szałowi nacyonalistycznemu.

Jedyny katolicyzm posiada niezmienne zasady. Przez to, że żąda on od swych wyznawców uznania i postępowania według tych zasad wieczystych, urabia on charaktery w odpowiednim kierunku i uzdolnia je do należytego zasadniczego działania. Katolicyzm jest największym wrogiem wszelkiego oportunizmu, on najpotężniej głosi wielkie hasło miłości Boga i bliźniego, on nazwą swą i istotą przypomina ustawicznie, że wszyscy ludzie są dziećmi jednego Ojca, że wszy-

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

81 Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Przez cztery lata trwały badania i straszne śledztwa, a wielu skazańców zesłano na Syberyę i do wojska. Henr. Krajewskiego wysłano do kopalń nerczyńskich, uwięziono znakomitą poetkę Narcyzę Żmichowską. Z Wilna dwóch braci Dalewskich wysłano do kopalń w Syberyi. Na publicznych placach w Wilnie i Mińsku chłostali żandarmi rózgami uczniów gimnazyalnych. Za rozbudzanie ducha narodowego i podnoszenie sprawy włościańskiej wywiezieni zostali w głąb Rosyi literaci, jak Romuald Podbereski, Edw. Żeligowski (Ant. Sowa), Zofia Klimańska (Zofia z Brzozówki).

Gdy wszystkie powstające ludy na lądzie Europy przygniecione zostały przez rządy, przestał już Paryż być stolicą wolnej myśli.

Wypędzona z Francyi (w r. 1849) Centralizacya Towarzystwa Demokratycznego Polskiego przeniosła się do Londynu. Tam gromadzili się członkowie demokracyi europejskiej, a w roku 1850 zawiązali Centralny Komitet, w którego skład weszli: Ledru Rollin, Mazzini, Wojc. Darasz, Ruge i Bratiano.

Odetchnęły nieco gnębione narody i ożywiły się znów nadzieje Polaków po kilku latach, gdy despotyczna Rosya, usiłująca jeszcze zgnieść Turcyę, została pokonana przez wojska francusko-angielsko-włoskie w wojnie Wschodniej czyli Krymskiej (w r. 1855).[1]

[1]) Limanowski, 328, 329; Lewicki 490.

Od powstania r. 1863, 1864 do naszych czasów.

a. Przed wybuchem powstania.

1. Car Aleksander II.

Wśród głuchej ciszy, jaka po stłumieniu powstania zapanowała w ziemiach polskich, ożywiły się nadzieje narodu polskiego dopiero w czasie wojny *wschodniej* czyli *krymskiej* (od roku 1854—1856), którą prowadziła Rosya z Turcyą, a w obronie której wystąpiły Francya, Anglia, a także i Austrya.[1]) Wtedy to wybitni mężowie polscy, głównie zaś ks. Czartoryski starali się u mocarstw podnieść sprawę polską, a przedewszystkiem doprowadzić do tego, ażeby wojna do ziem polskich mogła być przeniesiona. Z ramienia księcia bawił w Konstantynopolu generał Chrzanowski, a od roku 1841 Michał Czajkowski. Starania te jednak nie miały skutku żadnego. Pojawiły się więc usiłowania, ażeby utworzyć polskie legiony do walki z Rosyą. Michał Czajkowski, przyjąwszy wiarę turecką i godność Sadyka-baszy[2]) utworzył w Dobrudży[3]) tak zwanych „Kozaków sułtańskich."[4]) Ze strony hotelu Lam-

[1]) Mikołaj I, korzystając z osłabienia Europy po rewolucyi r. 1848, chciał rozebrać państwo tureckie. Pospieszyły z pomocą Turcyi Anglia, Francya i także Austrya. Wojska rosyjskie zostały pobite a w l. 1854 i 1855 nastąpiło oblężenie i zburzenie Sewastopala, głównej morskiej twierdzy Rosyi nad morzem Czarnem. Mikołaj umarł ze zgryzoty (2 marca 1855 r.) a Rosya musiała prosić o pokój, który zawarty został na kongresie w Paryżu (r. 1856). Morze Czarne, oblewające brzegi Rosyi i Turcyi uznane zostało za centralne t. j. otwarte dla wszystkich okrętów handlowych.

[2]) *Basza* albo *pasza*, wysoki urzędnik turecki, dawniej dowódzca wojsk, dziś gubernator prowincyi tak zwanego *paszaliku*.

[3]) Dobrudża, kraj na prawym brzegu ujścia Dunaju.

[4]) Wtedy to Mickiewicz zjechał także do Konstantynopola i z pomocą Armanda Levyego tworzył legion żydowsko-polski. Przy tej czynności zabrała go śmierć (26 listop. 1855 r.). Łapiński, będący w wojsku rosyjskiem, utworzył oddział polski i walczył w górach Kaukazu przeciwko Rosyi, pomagając Czerkiesom walczącym o swą wolność. — Limanowski, 331.

stkim zatem należy się sprawiedliwość i wszystkim miejsce pod słońcem. (Kościół do dziś dnia np. nie uznał podziału Polski i pozostawił ją niepodzieloną i całą w brewiarzu.) Nie może się mierzyć z katolicyzmem żadna teorya państwa. Teorye i religie państwowe są z natury rzeczy zmienne i ciasne, bo służą zmiennemu człowiekowi i w ciasnych obracają się granicach. Tylko religia stojąca ponad człowiekiem, ponad granicami, obejmująca cały świat, wszystkich ludzi i wszystko wiążąca ze stwórcą, tylko taka religia może wieść do wyższych form i głębszej treści prywatnego, społecznego i politycznego życia.

Jasną więc rzeczą, że partya polityczna i społeczna na takiej religii oparta, tysiąckroć lepiej zabezpieczona jest przed wszelakiego rodzaju pogaństwem, najgłębszą treścią którego jest wybujały indywidualizm i egoizm, niż partye, stworzone w imię rozlicznych bożyszczów ziemskich, czy one się zowią: status quo, czy złoty cielec, czy postęp, czy komunizm, czy jeszcze inaczej.

* * *

Historya dała dowody, że, jeżeli u kogo, to tylko u katolików możemy się spodziewać niejakiego zrozumienia dla położenia naszego i pewnej tolerancyi. W Rosyi np. gnębi nas prawosławie, w Niemczech protestantyzm. Nie przepisują tego wprawdzie nigdzie odnośne religie, owszem głoszą w zasadzie te same hasła chrześcijańskie, co nasza, lecz niestety nie posiadają siły dosyć, by ugiąć pod swój autorytet rozwydrzone namiętności ludzkie. Jedynie katolicyzm ma siłę i władzę urzeczywistniać w praktyce dnia postulaty chrześcijańskie. Obserwować to możemy w katolickiej Austryi, gdzie ucisk obcych był tylko możliwy za czasów upadku religijnego, a ustąpił z chwilą, gdy zwietrzały liberalizujące teorye i utraciły złowrogie wpływy na rząd.

* * *

Z tego punktu widzenia patrząc na sprawy, dobrze jest, że zaczyna ustępować konieczna swego czasu, lecz niestety zbyt długo się ciągnąca walka polsko-centrowa i że pomiędzy temi partyami przygotowuje się nie tylko pokój, lecz poniekąd sojusz. Mężowie, którzy w tej sprawie działali, zasługują na uznanie, gdyż przysłużyli się nie tylko obu partyom, lecz całemu ogółowi w Niemczech. Wszelkie pomnażanie bowiem wpływów nacyonalistycznych trzeba uważać także za wielkie nieszczęście dla Niemiec samych, które kiedyś spożywać będą musiały zatrute owoce, wyrosłe na bujnem drzewie narodowego egoizmu.

* * *

Sukcesy antypolskie są w rzeczy samej klęską niemiecką.

Już samo wniesienie takich projektów, jak zakaz budowania na własnej ziemi, wywłaszczenie a nareszcie klauzula językowa, jest jaskrawym dowodem, że cała dotychczasowa polityka antypolska chybiła celu. Już po zakazie budowania domów mieszkalnych spodziewano się nadzwyczajnych rzeczy. Rozgoryczono tylko ludność i nic nie osiągnięto. Co kolonizacya osiągnęła pod względem narodowym wszyscy wiemy. Pod względem ekonomicznym poniekąd przyczyniła się do zbogacenia naszego. Nie sądzimy żeby wywłaszczenie było tak niebezpieczne, jak niektórzy myślą. Wyrzucenie języka ze zebrań i wieców też nas nie uśmierci. Może przed 50-ciu laty byłoby nam zadało cięgi, dziś, przy obecnym stanie uświadomienia narodowego, po bliznach i przejściach strejku szkolnego, przy dość pomyślnym sta-

---

bert generał Władysław Zamoyski nakłonił rząd angielski do utworzenia dywizyi polskiej, lecz zanim ta mogła wyruszyć do boju, już wojna się zakończyła. Po tej wojnie, po śmierci strasznego Mikołaja a po nim Paskiewicza, odetchnęła nieco Polska. Nowy car Aleksander II. uchodził za człowieka liberalnych przekonań i miał być dla Polaków przyjaźnie usposobionym.

— Pamiętacie go, — mówiono wtedy w Warszawie — jak, dzieckiem będąc, przejeżdżał po ulicach naszego miasta w strojnym mundurze polskim?

— O tak, jest on nam bardzo życzliwy, biegle włada językiem polskim, czytuje z zapałem naszego Mickiewicza! To człowiek postępowy i sprawiedliwy, nie zniesie naszej krzywdy!

I w Warszawie zapanowała swoboda, bo po Paskiewiczu został następcą namiestnika generał Wincenty Krasiński, a po nim Michał ks. Gorczakow człowiek uczciwy i prawy chociaż już stary i niedołężny.

Po kongresie paryskim spodziewali się Polacy wiele, gdy sprawa polska była ciągle najważniejszą sprawą europejską.[1]) Gdy jednak w czasie rokowań o pokój chciał cesarz Francuzów Napoleon III. podnieść sprawę polską nastąpiły nieporozumienia pomiędzy Anglią a Francyą i układy nie doszły do skutku. Zawarty został pokój prawie, że bez wzmianki o Polsce, a tylko car rosyjski uprzedzając możliwe wprowadzenie sprawy polskiej do obrad wydał polecenie swemu ambasadorowi ks. Orłowowi, który w jego imieniu tak oświadczył zebranym:

— Car Aleksander II. żywi dla Polaków jak najlepsze życzenia i wkrótce z własnej woli ogłosi powszechną amnestyę, zapewni kościołowi katolickiemu zupełną swobodę, przywróci językowi polskiemu odjęte prawa i otworzy dawniejsze uniwersytety![2])

Rozgłos o liberalnym carze i o jego łaskach dla Polaków[3]) przybył wnet do Warszawy, poprzedzając przyjazd samego Aleksandra II. do stolicy Polski w maju r. 1856. Ale ten liberalny car zawiódł nadzieje Europy i Polaków, a w Warszawie przyjmowany przez społeczeństwo zanadto serdecznie, oblał zaraz zimną wodą pokornie witających go wysłańców narodu. Dwóch wiernopoddańczych adresów z bardzo skromnemi żądaniami wcale nie przyjął, a przy przedstawieniach tak w Belwederze jak i w pałacu Łazienkowskim usłyszeli Polacy dwukrotnie surowe upomnienie streszczone w znanych powszechnie zwrotach:

— Precz z marzeniami, panowie! Wszystko co zrobił mój ojciec, dobrze zrobił![4])

---

[1]) Ze sprawą polską łączyła się sprawa włościan, którzy również oczekiwali pomocy w czasie wojny od Francuzów i Turków. Żywy ruch włościan, wrogi rządowi, obudził się wtedy (1855 r.) na Rusi w porzeczu Rosyi (kilkanaście wsi). Zbierali się gromadami i szli „w Kozaki, na wilki stepi“. Dla szlachty życzliwi, popów i urzędników policyjnych powiązali. — Chcecie wolności i własności, to idźcie bić Moskala! — mówił im Rosental z dwoma kolegami z kijowskiego uniwersytetu. Rosental poszedł na Syberyę a chłopów rozpędziło wojsko. — Inwentarze jakie w r. 1849 otrzymali chłopi, ograniczały pańszczyznę na 150 dni rocznie, kasowały daremszczyzny i przyznawały chłopom prawo do gruntu używanego przezeń przez lat ośm. Ale do tych inwentarzy nie stosowano się wcale. — *Hist. powst nar. pols*; Lwów 1882, I. 45. 1863 i 1864 r.

[2]) Lewicki, 491; Sokołowski, IV, 1822; Limanowski, 332; Hist. powst. n. p. str. 47.

[3]) Podobnie jak za Aleksandra I. Polacy byli zachwyceni wspaniałomyślnością nowego cara i dawali się chwytać na tę ponętę tak dalece, że taki patryota jak Tytus Działyński w rozprawie przez siebie napisanej wzywał najpotężniejszego władcę ludów słowiańskich do „krucyaty przeciw Niemcom“. — Sokołowski, IV, 1823.

[4]) Point de reveries, point de reveries, messieurs! — mówił car do deputacyi. — Gotów jestem zapewnić Polsce wszystko, co może być jej pożyteczne, wszystko, co mój ojciec przyrzekł jej dać i rzeczywiście dał. *Wszystko co mój ojciec zrobił, dobrze zrobiono. Panowanie*

nie czytelnictwa naszego, nie jest ono tak czarne, jak je malują.

Nie ma wprawdzie słów dość ostrych, aby to wszystko należycie napiętnować. Zakazy i utrudnienia te są dla każdego z nas nad wszelki wyraz ciężkie, twarde, przykre, lecz mają tę doskonałą stronę, że agitują same przeciwko sobie. Był czas, gdy polityka antypolska się rozpoczynała, że gazety musiały niejako podniecać ludność, by zrozumiała to, co się przeciw niej dzieje. Dziś tego wcale nie potrzeba. Dziś gazety czują się spowodowane uspokajać lud i powstrzymywać od czynów nierozważnych, lud bowiem żadnych podnieceń i „podburzań“ nie potrzebuje, bo o to starają się należycie prawodawcy w izbach parlamentarnych, hakatyzm i rząd pruski i niemiecki.

Hakatyści i rząd dokonali prawdziwego majstersztyku, którego im tylko powinszować można: z ultralojalnego chłopa polskiego, zrobili świadomego swych praw obywatela-Polaka. Sądzimy, że zrobią z niego jeszcze *prawdziwego* czerwonego radykała, jeżeli nie nałożą sobie nieco wstrzemięźliwości przy przeprowadzaniu uzyskanych antypolskich kompetencyi.

* * *

Nie lękamy się ani wywłaszczenia z ziemi ani wywłaszczenia z języka. Pod względem narodowym można się rozwijać i bez wieców. Na Litwie swego czasu nawet na ulicy nie było wolno mówić po polsku, a przecież polskość tam nie wymarła. Nie idzie zatem, żeby się godzić na ten stan rzeczy, jaki większość niemiecka u nas wytworzyła. Chodzi tylko o to, by nie rozszerzał się strach i zwątpienie pomiędzy nami. Od czasu, jak prof. Konieczny w „Świecie Słowiańskim“ napisał, że polskość w Prusach ma tylko 30 lat życia przed sobą, zdarza się słyszeć podobne zdania.

Ostatnie wypadki parlamentarne nie przyczyniły się do naprawienia tego osobliwego w swoim rodzaju poglądu. Takie frazesy nie działają oczywiście krzepiąco. Na szczęście jednak są zupełnie bezpodstawne.

Narody mają twarde życie, nie umierają tak prędko. Na Śląsku polskość przez 700 lat się utrzymała i dziś zdumiewa wszystkich swym rozwojem. Jakie widowisko dali światu Czesi! A czem byli Czesi przed 60 laty, a czem my dziś jesteśmy? Tam był kompletny zanik poczucia narodowego u nas tymczasem patrzymy na jego rozkwit i pochód zwycięski.

Precz więc ze zwątpieniem. Róbmy tylko każdy to, co do nas należy, a nic się nam złego nie stanie.

Zresztą nigdy nie należy wątpić o człowieku. Człowiek, a więc naród, może się zbłąkać, na to patrzymy dziś wszyscy w Niemczech, lecz po takiem zbłąkaniu, czem jest dzisiajsza era nacyonalizmu i hakatyzmu, zwykła przychodzić reakcya, otrzeźwienie.

Doczekamy się tego, jeżeli nie my to nasze dzieci lub wnuki, ale przyjdzie ta reakcya, bo przyjść musi.

Bagnetami można wszystko zrobić. Ale siedzieć nie można na bagnetach. Tę prawdę poznają także Niemcy. Czekajmy na to, lecz nie bezczynnie.

Z głębi serca pochodzą złe myśli i rządze,
Dla tego zamknij serce na wszystkie wrzeciądze.

* * *

Kto nie wie, co to boleść, smutek i cierpienie,
Ten także nie zrozumie, co to poświęcenie.

Ustępstwa czyli ulgi poczynione dla narodowości polskiej były bardzo szczupłe. W Królestwie został wprawdzie zniesiony istniejący od r. 1831 stan wojenny, po srogich czasach Mikołaja złagodniał ucisk i cenzura, ogłoszono amnestyę dla wychodźców i skazańców na Syberyi, w Warszawie założono akademię medyczno-chirurgiczną, lecz zresztą pozostało wszystko jak dawniej. Namiestnik ks. Gorczaków był uczciwym człowiekiem, ale właściwie rządził Królestwem znienawidzony wróg Polaków, Paweł Muchanow, dyrektor komisyi spraw wewnętrznych i duchownych.

W całej Rosyi za przykładem liberalnego cara powiał duch liberalizmu, a z zagranicy przeciskały się do kraju czasopisma, w których podnoszono dążenia narodowe ludów. I wtedy mówiono powszechnie:

— W Rosyi jest dwóch carów: jeden urzędowy: Aleksander Mikołajewicz Romanow, drugi moralny: Aleksander Iwanowicz Hercen patryota i pisarz.

Z tych pierwszy był bardzo czuły na opinię drugiego i pilnie czytywał jego pismo *Kołokoł* (Dzwon). Ten drugi, który jako *Iskander* wydawał w Londynie bardzo popularne w Rosyi dzieła, był przyjacielem Polski i tak pisał i przemawiał na zebraniach emigrantów:

— Wyzwolenie Polski jest połową wyzwolenia Rosyi. Wolna Warszawa jest śmiercią dla carskiego Petersburga. Niepodległość Polski to wolność Rosyi. Car niczego tak się nie lęka jak niepodległości Polski. W dniu, w którym w Warszawie ogłoszoną zostanie Rzeczpospolita, petersburski orzeł powiesi się za jednę ze swoich głów!

W miarę wzrastania w Rosyi wpływu Hercena rosło tam coraz mocniej poczucie wolności i współczucie ku Polakom. Widocznem to było szczególniej na uniwersytetach i w wojsku, gdzie Polaków była znaczna liczba.

Po bytności cara w Warszawie, po jego obejściu się i ostrych słowach zadrżały gniewem serca młodzieży polskiej w Rosyi i po uniwersytetach rozpoczął się ruch organizacyjny. Wnet zadrgała Polska cała ożywionym ruchem narodowym, a z ust do ust biegły szeptem słowa wezwania:

Rodacy, despotyzm zdobyczy swej dobrowolnie z rąk nie wypuści, lecz trzeba mu ją wydrzeć! Chcąc zaś ją wydrzeć, trzeba mieć siłę, a tę daje przedewszystkiem organizacya, wzajemne porozumienie się! [1])

2. Ruch narodowy.

Pod zaborem rosyjskim. Wskutek zawiedzionych nadziei [2]) szerzył się ruch narodowy i wzrastał coraz bardziej. przybierał rozmiary niesłychane i musiał doprowadzić do nowego powstania. Na ustach wszystkich było hasło:

---

moje będzie dalszym ciągiem jego panowania. Spodziewam się, żeście mię zrozumieli. Zapewne, że wolę nagradzać, aniżeli karać. Wolę — jak to mogę teraz uczynić — objawiać zadowolenie, wzbudzić nadzieje i wdzięczność. Lecz wiedzcie także i pamiętajcie nieustannie, że, gdyby wypadło, *będę umiał poskramiać i karać, nawet surowo ukarać! — Hist. powst. nar. pols.* 1863 i 1864 r. Lwów, 1882; I, 47.

[1]) Hist. powst. nar. pol. I, 50.

[2]) Pomimo amnestyi ani ks. Ściegienny ani Rosental nie zostali uwolnieni. Amnestya została udzielona pod warunkiem, że ułaskawieni nie mogą odzyskać majątków skonfiskowanych, czyli skazani zostają na materyalną nędzę. Nie było żadnych ulg w sprawach religijnych. Strasznie oburzył się naród postępkiem rządu z unitami. W Dernowiczach, miasteczku gub. Witebskiej, ludność unicka, w r. 1842 gwałtem przeprowadzona na prawosławie, dwukrotnie zanosiła prośby do cara, by jej pozwolono wrócić do unii. Za tę chęć bito ją bez litości i gwałtem pozostawiono w szyzmie. Podobnie było w Porowcewie, gub. Grodzieńskiej, gdzie kilku chłopów zginęło pod rózgami. — Sokołowski, IV, 1824, 1825.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Więcej solidarności ekonomicznej.

Następstwem najświeższych ustaw antypolskich winno być energiczniejsze skupienie się społeczeństwa polskiego.

Wymaga tego wzgląd na przyszłość naszą w Niemczech.

To skupienie się powinno się przedewszystkiem dokonać w dziedzinie ekonomicznej.

Od dawna rozlega się hasło swój do swego. Nazwano to bojkotem. Nazwa ta jednak nie jest słuszna. Bojkot bowiem — to akt nieprzyjacielski. My jednak nie mamy zamiaru szkodzić obcym, nie występujemy nieprzyjaźnie, gdyż dobrze wiemy, że w sferach kupieckich i rzemieślniczych niemieckich nie siedzą nasi właściwi wrogowie. Jednakże nie mamy powodu szczególniej troskać się o ich dobrobyt, gdyż o tem myślą i troszczą się inni. Tymczasem o nasz dobrobyt nie troszczy się nikt z obcych, słuszna zatem, abyśmy sami o sobie pamiętali.

Jeżeli zalecamy energiczne popieranie swojskiego przemysłu, rzemiosła i handlu, czynimy to dla tego, że widzimy, jak na wszystkich polach życia bywamy upośledzani. Urzędy są dla nas zamknięte, zawody, wymagające wyższych studyi przepełnione, z ziemi coraz bardziej nas rugują, dostaw rządowych nie otrzymujemy, słowem położenie nasze jest bardzo trudne, pogarsza się ustawicznie i może dojść do tego, że będziemy zmuszeni wynosić się z dzielnic naszych, jeżeli w jakikolwiek sposób się tutaj nie utwierdzimy.

Ziemie polskie w Prusach położone są obszerne. Tylu tutaj żyje Polaków, że nie potrzeba się oddawać żadnym czarnym myślom, jeżeli tylko wszyscy Polacy zrozumieją swój wobec siebie obowiązek.

Niestety pod tym względem bardzo jeszcze smutno u nas wygląda i zapewne dużo jeszcze wody w rzekach naszych upłynie, aż solidarność ekonomiczna u nas się urzeczywistni.

A jednak nie powinniśmy spuszczać z oka tej ważnej sprawy i ciągle sobie uprzytomniać, że wyjątkowe stosunki, w jakich żyjemy, wyjątkowych od nas wymagają zabiegów, trudów i ofiar nawet, by się utrzymać na powierzchni i nie zejść do roli służalców.

Handel i przemysł — to bardzo ważne dziedziny w gospodarstwie społeczeństwa.

Powinniśmy je koniecznie uprawiać i użyźniać, lecz na co się zdadzą wszelkie zabiegi, jeżeli społeczeństwo nie przyłoży ręki do tej pracy i nie będzie należycie jej popierać. Szczególniej lud powinien zrozumieć, że i w jego interesie leży popieranie handlu i przemysłu swojego, gdyż tam właśnie znajdą pole pracy i możność utrzymania te jednostki z ludu, które potrafią się wybić pracą i zapobiegliwością i zapragną podnieść się na wyższy szczebel drabiny społecznej.

Im szersze pole zdobędziemy dla naszej pracy, tem łatwiej ukształtuje się nasze życie, tem pewniej będziemy siedzieli na naszych śmieciach.

To wszystko jednak będzie tylko pobożnem życzeniem póty, póki u nas nie wyrobi się ścisła solidarność ekonomiczna, póki nie pozbędziemy się niektórych uprzedzeń i przesądów tyle szkodliwych dla rozwoju naszego.

Zdarza się, że wypominamy naszym kupcom i rzemieślnikom rozliczne braki i niedomagania. Zapewne, że i oni nie są bez winy. Lecz pamiętajmy o tem, że handel nasz i przemysł jest jeszcze bardzo młody, że brak mu pieniędzy, nierzadko i ludzi odpowiednich; jednakże to wszystko są braki, które same przez się ustąpią, jeżeli tylko pospieszymy z poparciem należytem. Należy trochę mniej krytykować, a nieco więcej współdziałać, a dobrze na tem wyjdą obie strony i ogół. Zresztą nie myślmy, że podobnych żalów nie wytaczają Niemcy wobec swoich kupców. I tam skargi są bardzo częste i z pewnością uzasadnione.

Źle jest, jeżeli się politykę przenosi w dziedzinę ekonomiczną. Hasło: swój do swego, pojęte, jako hasło walki, jest hasłem politycznem. Nabywa ono jednak wielkiej siły twórczej, jeżeli bywa stosowane w rozumny sposób nie celem zgnębienia kogokolwiek, lecz celem podniesienia i użyźnienia własnej pracy wytwórczej.

My musimy koniecznie pamiętać o sobie, inaczej źle z nami będzie. Ci zaś, którzy korzystają z poparcia społeczeństwa, powinni z tego wysnuć odpowiednie konsekwencye.

Kto mi bierze sławę dobrą, bierze mi życie.

Jan Chr. Pasek.

* * *

Odwracamy twarz, oczy, od niemiłych sobie,
Czyś pewien, że Bóg tego nie uczynił tobie?

Elżbieta Drużbacka.



U «polskiego proboszcza» w Hamburgu.

(Kartka z podróży.)

Tuż przy kościele katolickim pod wezwaniem św. Ansgarego — pisze p. Witold Noskowski w „Ziarnie" — zwanym jednak powszechnie Klein-Michaeliskirche, a zbudowanym dla katolików-Francuzów jeszcze przez Napoleona Wielkiego w r. 1809, znajduje się schludny dom ceglany w „Rohbau", z napisem, że tu mieści się kancelarya gminy katolickiej Hamburga.

Rzeczpospolita hamburska na długo przed trzecią republiką francuską przeprowadziła w praktyce rozdział Kościoła i państwa. Z dwunastu senatorów Hamburga, którzy są obierani dożywotnio, i z pomiędzy siebie obierają prezydenta na rok, żaden nie ma pod sobą „ministerstwa wyznań". Hamburg — mówiąc z kodyfikatorem rozdziału francuskiego, p. Briandem — „nie uznaje i nie popiera żadnego wyznania", a zarówno protestanci, jak katolicy kosztem gmin wyznaniowych utrzymują duchowieństwo i pokrywają koszta obrzędów. W dwudziestu pięciu tysiącach marek, jakie pobierają senatorowie-prawnicy, ani w piętnastu, jakie dostają się rocznie senatorom ze świata kupiecko przemysłowego, nie ma grosza na troskę o sprawy wyznaniowe. Każda gmina opodatkowuje członków stosownie do zgłoszonego dochodu i z tego źródła pokrywa koszta służby Bożej.

Na lewo w bramie kancelarya gminy katolickiej. Pukam. Przyjmuje mnie urzędnik.

— Czy mogę mówić z księdzem Fiemą?

Okazuje się, że poszukiwany mieszka w tym samym domu. Za chwilę otwierają się drzwi mieszkania i proboszcz polski wita serdecznie gościa, przynoszącego mu wiadomości z rodzinnego miasta. Ks. Fiema jest Krakowianinem. Przed półtora rokiem, bez mała, został przez ks. biskupa Pelczara wyznaczony na niełatwy posterunek hamburski, z którym łączy się duszpasterstwo kolonii polskiej, oraz wychodźców, dążących przez Hamburg do Ameryki.

— Katolicy — objaśnia — stanowią w Hamburgu znikomą mniejszość. Jest ich 40 tysięcy w okrągłej cyfrze na milion prawie mieszkańców miasta.

Z tych czterdziestu tysięcy czwartą część stanowią Polacy, w liczbie około 10 tysięcy dusz. Naturalnie nie wszyscy są stałymi mieszkańcami, mniej więcej 3000 można liczyć do ptaków przelotnych, tak, że na kolonią osiadłą przypada mniejwięcej około 7 tysięcy dusz.

— Jakie dzielnice Polski dostarczają Polaków do Hamburga?

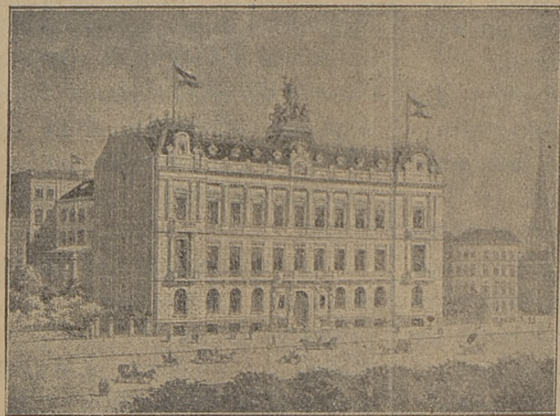
— Jeżeli idzie o żywioł nie osiadły, to przeważnie Królestwo. Są to robotnicy sezonowi, pracujący mniejwięcej od marca, do końca listopada. Co do ludności stałej, to tworzy ją napływ z Poznańskiego i z Prus Zachodnich.

— Czem się trudnią Polacy?

— Są przeważnie robotnikami fabrycznymi, w porcie, w dokach i t. d. Rzemieślników też nie brak; są mularzami, kaflarzami, stolarzami, wielu też jest maszynistami na statkach pływających po Łabie. Mamy też kilku kupców. Żywioł inteligencyi we właściwem słowa znaczeniu jest prawie nie reprezentowany, jeżeli obliczymy jednostki. Natomiast żywszy ruch umysłowy panuje między młodymi handlowcami, którzy na ogół wprowadzają w kolonię dość życia, koncentrującego się, naturalnie, w stowarzyszeniach.

— Ile mamy tu polskich towarzystw?

— Wyliczę: polsko-katolickie towarzystwo rękodzielnicze pod opieką św. Józefa, założone w roku 1894. — Stworzył je ks. Swider, obecnie proboszcz w Ameryce. Dalej polsko-katolickie towarzystwo „Jedność“ pod opieką św. Wojciecha, założone w roku 1905 przez ks. Kisielewicza, obecnie proboszcza w Nisku. Najstarszem jest towarzystwo polskie „Nadzieja“, założone w roku 1887, którego kuratorem jest z reguły polski proboszcz tutejszy. Młodzież handlowa skupia się wreszcie w towarzystwie „Kłosy,“ — które obejmuje żywioły inteligentniejsze, o których już wspomniałem, pochodzące przeważnie z Królestwa. Nakoniec mamy dwa „Sokoły,“ męski i żeński. „Sokół“ męski istnieje trzy lata i liczy około 30 członków, podobnie żeński. To byłby Hamburg. Ale okolica miasta liczy również wielu Polaków. N. p. w Wilhelmsburg jest ich około 4000, pracujących przeważnie po fabrykach, a skupiających się w dwóch towarzystwach, oraz w „Sokole;“ w Schiffbeck kolonia polska liczy około 1000 dusz; towarzystw jest tam dwa; następnie w Schulau, gdzie istnieje jedno towarzystwo, pracuje około 600 Polaków. Są to w całej okolicy przeważnie robotnicy fabryczni. Prawda, jest jeszcze kolonijka z 300 dusz mniej więcej w Gesthacht, gdzie również istnieje jedno towarzystwo polskie. Idąc dalej, zawędrujemy do Meklemburgii oraz do Szlezwigu i Holsztynu, gdzie również nie brak Polaków. Jest ich około 13000, przeważnie Królewiaków. Galicyanie tam się nie osiedlają prawie, a gdy który przybędzie, zwłaszcza z rodziną, natychmiast go wydalają.



Główny gmach Towarzystwa dla wychodźców linii hambursko-amerykańskiej w centrum Hamburga.



Kościół barakowy katolicki i protestancki dla wychodźców w Hamburgu, w środku zabudowania.



Baraki dla wychodźców Towarzystwa linii hambursko-amerykańskiej w Hamburgu.

— Jak przedstawia się życie w towarzystwach?

— Co dwa tygodnie ma każde towarzystwo obowiązkowe zebranie. Odbywają się odczyty, przedstawienia amatorskie, nadto każde towarzystwo ma bibliotekę, z której wypożyczają sobie członkowie książki, oraz posiada pewien zasób pism. Prenumerują przeważnie „Dziennik Berliński,“ „Pracę,“ „Gazetę Grudziądzką“ i „Pielgrzyma“ pelplińskiego, czasem warszawską „Rolę„ lub jakie pismo z Galicyi. Życie towarzystw jest, jak pan widzi, urozmaicone o tyle, o ile w tych skromnych warunkach da się je urozmaicić; nie odbiega wiele od typu towarzystw wśród sfer robotniczych polskich w Berlinie n. p., gdzie jednak większe środki pozwalają też działać na większą skalę. Zawsze jednak wpływ kulturalny naszych towarzystw jest stosunkowo duży i pocieszający. Ci Polacy, którzy do nich należą, nie wynaradawiają się tak, jak chodzący luzem.

— Zatem i tu wynarodowienie jest ostatecznym rezultatem diaspory?

— Czy może być inaczej? Drugie pokolenie już się zwykle wynaradawia. Dzieci, które mówią w szkole po niemiecku, przenoszą to do domu, ojciec przy pracy, matka niema czasu się niemi zajmować... Kościół i towarzystwa oto jedyne miejsca, w których przytuliła się i z których promienieje polska mowa. Co niedzielę odbywają się polskie nieszpory, z polskiem kazaniem. Kościół zapełnia się wtedy mniejwięcej dwoma tysiącami ludzi. Do św. Sakramentów przystępuje rocznie mniejwięcej 5000 ludzi. Cyfry tej nie można jednak brać za podstawę obliczeń, gdyż wielu przystępuje po dwa i trzy razy, tak, że można liczyć, iż na całą kolonię polską, jakaś czwarta część stoi wytrwale przy kościele, jako ostoi wiary i języka ojczystego. Bo trzeba wiedzieć, że i tutaj socyalizm

wydziera nam Polaków. Wielu zostaje wciągniętych i tacy najczęściej idą na zniemczenie. Socyalizm odciąga go nasamprzód od polskiego nabożeństwa w kościele, potem od polskich towarzystw, reszta wiadoma...

— Skoro Polacy stanowią czwartą część katolików hamburskich, to muszą zapewne mieć duży wpływ w gminie wyznaniowej?

Ks. Fiema uśmiechnął się.

— Powiadają o nas, że brak nam zmysłu organizacyjnego. Gdy patrzę na stosunek nasz do gminy wyznaniowej, utwierdzam się w tem pesymistycznem mniemaniu. Wie pan już, że gmina utrzymuje się z dobrowolnego podatku członków, z których każdy fasyonuje dochód, celem wymierzenia należytości... Otóż minimalny dochód, od którego się opłaca dwie marki rocznie, wynosi 1200 marek. Tyle wynosi z pewnością przeciętny dochód Polaka w Hamburgu. Mimo to zgłoszeń takich jest stosunkowo niewiele, gdyż idzie o zaoszczędzenie dwóch marek... Że zaś prawo głosu mają ci, którzy należytość opłacają, więc rezultat jest ten, iż Polacy mają w zarządzie tylko jednego przedstawiciela!

— Ale duchowny polski rezyduje tu stale?

— Tak jest. Idzie przecież nietylko o kolonię polską, ale także o wychodźców, których dziesiątki tysięcy idą przez Hamburg do Ameryki. W r. 1906 przeszło tędy 58,717 katolików na 104,416 ogólnej cyfry. Są miesiące, w których mamy tu po kilkanaście tysięcy przejazdem. W kwietniu r. 1906 n. p. było 17,000, a przeciętną cyfrę na miesiąc można przyjąć na 6,000 mniejwięcej. Proboszcz polski sprawuje nad nimi duchowną pieczę. W barakach linii hambursko-amerykańskiej zbudowano kościół, w którym odbywa się dwa razy na tydzień popołudniu nabożeństwo różańcowe, potem spowiedź, następnego zaś dnia z rana msza św.

— Co to są owe baraki?

— Linia hambursko-amerykańska zbudowała je celem łatwiejszego operowania masami wychodźców, których przewozi. Znajdują oni tam mieszkanie i utrzymanie za kwotę 1 marki 60 fenigów dziennie. Nie brak i takich, którzy idą do hoteli w mieście, gdzie najczęściej padają ofiarą wyzysku, jeden bowiem jest tylko hotel polski i katolicki, liczący 32 łóżek, hotel „Galveston,“ utrzymywany przez p. Władysława Stanickiego, przy Westerstrasse l. 27. Główny jednak kontyngent śpi w barakach, dokąd ich zwożą specyalnymi wagonami i następnie specyalnymi parowcami odstawiają do Cuxhafen, gdzie na nich oczekują wielkie statki. Dla tych, jak powiedziałem, odprawiają się w barakowym kościele nabożeństwa.

— Zatem polskie nabożeństwo należy niejako do urzędów stałych w tutejszym ruchu wychodźczym?

— Przynajmniej od dość dawna. Pierwszym proboszczem polskim był ks. Bieniasz, obecnie proboszcz w Berlinie, w Ameryce północnej, drugim ks. Świder, dziś proboszcz w Bayonnie niedaleko Nowego Jorku, trzecim ks. Kisielewicz, pełniący teraz obowiązki proboszcza w Nisku, jak już wspomniałem, czwartym obecnie — ja jestem. Ks. biskup Pelczar wydelegował mnie tutaj, udzielając mi na trzy lata urlopu z mej dyecezyi.

Ostatnich słów kilka tyczyło się kraju i Krakowa, do którego tak tęsknią z obczyzny wszyscy prawdziwi Krakowianie. Zauważyłem, że sądząc z listy proboszczów polskich, droga ich z Hamburga prowadzi często do Ameryki.

— Tak, tak bywa — odparł ks. Fiema — chociaż n. p. mój poprzednik wrócił znów do kraju... Co do mnie — dodał po chwili milczenia — daremnie zapewniałbym, że choć na chwilę myślę o innej drodze, jak do kraju...



Tydzień polityczny.

Parlament niemiecki ukończył obrady etatowe przyjęciem etatu i zajmuje się obecnie zrywaniem owoców, wyrosłych na karłowatym drzewie blokowem w postaci ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach i takowej o naprawie stosunków giełdowych.

Obecnie, po ukończeniu sporu, wybuchłym pomiędzy sprawozdawcami parlamentarnemi a posłem centrowym Groeberem, który w stosunku do sprawozdawców użył nieparlamentarnego określenia, znów publiczność dowiaduje się o bitwach językowych staczanych w parlamencie. Walki te rozgorzały szczególniej przy obradach nad klauzulą antypolską i stanowiły przykre widowisko dla wszystkich tych, którzy wierzyli w zasadniczość t. zw. zasad liberalnych. Mówcy polscy i centrowi, a także socyalistyczni w płomiennych mowach dzielnie bronili praw języka polskiego przeciwko pogwałceniu ze strony zwartych szeregów blokowych, jak było do przewidzenia niestety, bezskutecznie. Przy obradach nad dodatkami dla urzędników rzeszy, zajętych w dzielnicach polskich, wypowiedział pierwszą swą mowę w plenum górnośląski poseł polski ks. Brandys. „Culagi“ uchwalono wbrew opozycyi centrowców, socyalistów i Polaków, a wolnomyślni przeparli przynajmniej to, że dodatki te są nieodwołalne. Jestto pewna ulga, gdyż ci, którzy już raz dostaną dodatek, nie żyją w wiecznym strachu utracenia go, zatem nie podlegają tyle pokusie uwydatniania ustawicznego swego „patryotyzmu“, co często bardzo niemile ludności polskiej odczuwać się daje.

Również zażegnano szczęśliwie nieporozumienie amerykańsko-niemieckie w sprawie nowego ambasadora amerykańskiego w Berlinie Dra Dawida Jayne Hilla.

Dotychczasowym ambasadorem amerykańskim w Berlinie był słynny bogacz Charlemagne Tower. Pan ten cieszył się szczególniejszem współczuciem cesarza, a także kół dworskich, gdyż wyprawiał świetne festyny, żył jak król i wogóle był bardzo miłym i towarzyskim człowiekiem. Dr. Hill tymczasem — to uczony, mąż pilnujący tylko swego zawodu i nauki, którą zbogacił, wydając dzieła pierwszorzędnej wartości naukowej. Tego pana Hilla desygnował prezydent Roosevelt na ambasadora w Berlinie. Pewnego dnia pożałował Ch. Tower swego pobytu w Berlinie i napisał do rządu amerykańskiego list, że cesarz niemiecki miał się wyrazić, iż obawia się, czy dr. Hill będzie się czuł swobodnym w Berlinie, gdyż posiada tylko skromny majątek i nie będzie mógł tak dobrze reprezentować Stanów Zjednoczonych w Berlinie. Wtem upatrywano w Ameryce chęć mieszania się do rządów amerykańskich. Prasa pochwyciła tę sprawę i zaczęła się zjadliwie rozpisywać, słowem doszło prawie do poważnego nieporozumienia. Już zaczęły się trześć pogłoski, że Hill nie pojedzie do Berlina, że jego miejsce obejmie Pierpont Morgan, podobnie jak Tower miliarder, lecz końcowo wyjaśniła się sprawa. Berlin dał należyte wyjaśnienia, cofnięto, co powiedziano, a prezydent Roosevelt oświadczył w nocie dyplomatycznej, że uważa rzecz za wyklarowaną. Hill pojedzie do Berlina — na jak długo, to wykaże przyszłość — rząd amerykański jednak

skorzystał z okazyi, by zaznaczyć, że brak majątku osobistego nie stanowi dla obywatela amerykańskiego przeszkody do objęcia najwyższych posad i zaszczytów.

Że królowie muszą być bardzo ostrożni z pisaniem, to wykazała sprawa listu cesarza do Tweedmoutha, że także ze słowami liczyć się muszą, tego dowodem sprawa Hilla.

Gdy się to wszystko działo, cesarz niemiecki był w drodze do uroczej wyspy Korfu, gdzie w tych dniach wyląduje. Po drodze wstąpił do Wenecyi, gdzie go według zwyczaju odwiedził król włoski, a ludność witała z niezmiernym przepychem. Obiegają pogłoski, że cesarz w niedługim czasie spotka się w Wiedniu z cesarzem Franciszkiem Józefem. Również podróże ks. Bülowa do Wiednia i Rzymu zwracają uwagę powszechną. Zdaje się, jakoby podróż cesarza nie była wcale tak nieoficyalną, jak głoszono. Mają go w Korfu także odwiedzić król i następca tronu grecki. Wszystkim wiadomo, że znów sprawy bałkańskie weszły na porządek dzienny polityki europejskiej. Projekty kolejowe, projekt angielski dotyczący poddania Macedonii gubernatorowi itp. niepokoją mężów stanu. Może być, że naczelnicy państw związanych w trójprzymierze pragną się porozumieć, oczywiście, by zapewnić trwałość pokoju europejskiego.

W Rzymie wybuchło powszechne bezrobocie i trwało 2 dni. Powodem było rozgoryczenie ludności z powodu braku pracy, hasłem do wybuchu starcie z żandarmeryą przy pogrzebie pewnego robotnika. Bójka była zacięta. Krew polała się obficie. Obecnie strejk ustał. W mieście już uwydatniał się tak wielki brak najpotrzebniejszych artykułów spożywczych, że wysłano żołnierzy do piekarń w zastępstwie strejkowców, żołnierze pracowali w gazowniach, a nawet zapalanie latarń ulicznych dokonywało się pod osłoną wojskową.

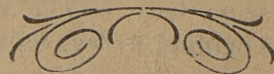
W Anglii nastąpiła doniosła zmiana w urzędzie premiera gabinetu. Sędziwy i nader zręczny sir Henry Campbell Bannermann ustąpił z powodu ciężkiej choroby. Następcą jego został lord Asquith, dotychczasowy minister skarbowości, mąż stanu ceniony bardzo wysoko przez wielkiego Gladstona. Są poszlaki, że nowy premier ostrzej będzie rządził niż jego poprzednik. Nie cieszy się on też współczuciem ani radykałów ani socyalistów.

Również zanosi się na dalsze zmiany w łonie ministerstwa angielskiego.

O popularności Campbell-Bannermanna świadczy wymownie ten fakt, że, gdy Asquith w niższej izbie obwieszczając ustąpienie premiera oświadczył, że w rocznikach historyi angielskiej nie ma drugiego męża stanu, któryby cieszył się większą powszechną sympatyą i większe położył zasługi, zerwała się burza oklasków. Również Balfour, przywódzca opozycyi w gorących słowach wspominał działalność premiera i wyrażał w imieniu opozycyi żal z powodu ustąpienia ciężko chorego premiera.

Jedno serce.

Od Warszawy do Krakowa
Jedno serce, jedna mowa,
Od Warszawy do Poznania
Jedno serce do kochania!
Jedno serce bije w łonie,
Jedne dusze, jedne dłonie,
Jeden zapał ręce splata,
Jednej pieśni dźwięk dolata!
Od Beskidu czarnej skały
Poszybował orzeł biały,
Tam gdzie Wisła się zaczyna,
W locie niebios szlak przecina.
Od Warszawy do Piotrkowa,
Od Lublina do Poznania,
Jedno serce, jedna mowa,
Jedno serce do kochania.
Od Cieszyna przez gór szczyty,
Biegnie czysta pieśń w błękity,
Przez Tatr złomy, lśniące w krasie
I grzmi echem przez Podlasie.
Ponad Wisły pasmem długiem,
Ponad Sanem, ponad Bugiem,
W nadniemeńskich puszcz dolinie,
Z jednej piersi piosnka płynie.
Od Warszawy do wzgórz Lwowa,
Jedno serce — jedna mowa,
Od Krakowa do Poznania,
Jedno serce do kochania!



Z ojczystych stron.

Nowy kościół w Jankowie Zaleśnym pod Raszkowem.

Ktokolwiek nie widział Jankowa Zaleśnego od lat dwudziestu, ten w pierwszej chwili niełatwo pozna, że to ta sama wioska, a z pewnością zdziwi się zmianom poczynionym i podziwiać będzie postęp, jaki dokonał się tutaj. Niegdyś w wielkim zachwaszczonym sadzie stało mizerne drewniane probostwo, a opodal nieco w głębi na niewielkim placu służącym przed laty za cmentarz, drewniany również kościółek zbudowany jeszcze przez Augusta, króla polskiego w r. 1715, a konsekrowany przez sufragana poznańskiego Rowińskiego r. 1727. Obraz wsi polskiej z przed pół wieku. Miało to swój wdzięk w niedzielną ciszę czerwcowego popołudnia, które nie może się skończyć, kiedy cienie biegną po białym piasku wydłużając się coraz.

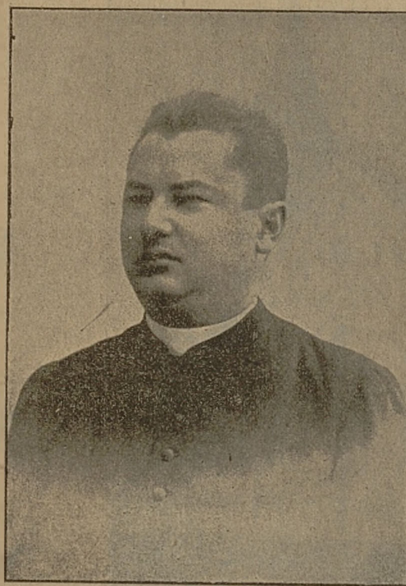
Ale prawo zmian nieubłagane i nieubłagalne. Kościół niegdyś obszerny stał się za ciasny do tego stopnia, że w mróz lub słotę chyba odstraszał ludzi. Probostwo się waliło. W Jankowie Zaleśnym rozpoczął się okres budowli. Dzisiaj już zdaleka widnieje biały ogromny kościół górując nad wsią i całą okolicą. Obok niego w pięknym ogrodzie probostwo również białe murowane chowa się wśród drzew, że widać tylko filary werandy. Wreszcie w głębi za kościołem obszerny budynek biały o czerwonym dachu. To dom katolicki.

Kościół jest dziełem p. Matejki, zasłużonego wielce architekta, który już 14 domów Bożych zbudował w naszej dyecezyi. Obszerny jest nader.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje zwłaszcza ze względu na styl swój.

Z dwóch stylów wchodzących u nas w rachubę, romańskiego i gotyckiego, drugi tu należało wykluczyć. Niewątpliwie piękne są świątynie gotyckie, nie tylko La Cathedrale w Chartres, albo św. Wita w Pradze, ale i nasze gotyki krakowskie czy gdańskie mimo trudności materyału. Również też faktem jest, że rażą oko kościoły gotyckie nowe, stawiane przez architektów niemieckich u nas przed kilkudziesięciu laty, gdy wydawano gotyk za rodzimy styl niemiecki. Rażą oko swą obcością, swem niezastosowaniem do wsi polskiej, do otoczenia całego. Lud nasz także nie czuje się w nich bardzo swojsko. Pozostawał więc styl romański. Ale tu nastręczała się poważna trudność. Jeżeli gotyk oznacza przezwyciężenie masy, to romański masy panowanie. A znowu świątynie romańskie, ciężkie, surowe i niejako przygniecione, gnębią ducha ludu naszego. Jemu potrzeba wiele światła, życia, ciepła, złoceń i kolorów. Lud nasz lubi się radować w kościele, nie drżeć z trwogi przed majestatem Bożym. Chodziło więc tutaj o to, aby kościół romański uczynić wesołym, aby go zmodyfikować odpowiednio. Dzięki wielkiemu talentowi architektonicznemu oraz wielkiemu znawstwu p. Matejki tudzież wielkiej wrażliwości estetycznej, smakowi i taktowi artystycznemu ks. proboszcza Rejewskiego, udało się to zadanie rozwiązać. Kościół jankowski jest wesoły, jak mało kościołów; a temu charakterowi zasadniczemu podporządkowano wszelkie szczegóły. Punkt centralny kościoła stanowi wielki, wysoki krzyż, sklepiony nader wysoko, opierający się na czterech wysokich filarach.

Pełno tutaj światła, pełno kolorów wpadających przez barwne witraże. Tutaj w tym krzyżu prześwietlonym należy upatrywać źródło wesołości kościoła. Odtąd ku chórowi nawa główna biegnie wysokiemi, śmiałemi łukami uwieńczona. Kończy ją łuk pod chórem nie płaski, jak w wielu niestety kościołach, ale wysoko wzniesiony i pełny. Równolegle z nią nawy boczne idą bardzo wysokie. Wielkiemi ich oknami mnóstwo światła i kolorów wpada do wnętrza uzupełniając i potęgując tak znakomicie wrażenie zasadnicze. Z drugiej strony zamykają je ołtarze boczne, jeden z obrazem św. Józefa, starem dziełem szkoły włoskiej, przeniesionem z starego kościoła, drugi z obrazem św. Wojciecha, malowanym w Krakowie. Jeszcze dwa drugie ołtarze (Pieta podług Michała Anioła i Pan Jezus objawiający się Małgorzacie Alacoque), ofiarowane przez rodziny Wasilewskich, Franków, Zmyślonych, Ratajczyków i Kulasów, dokonują przyozdobienia. Krzyż zaś sam otwiera się na prezbiteryum oddzielone balustradą drewnianą z płaskorzeźbami dwunastu Apostołów.



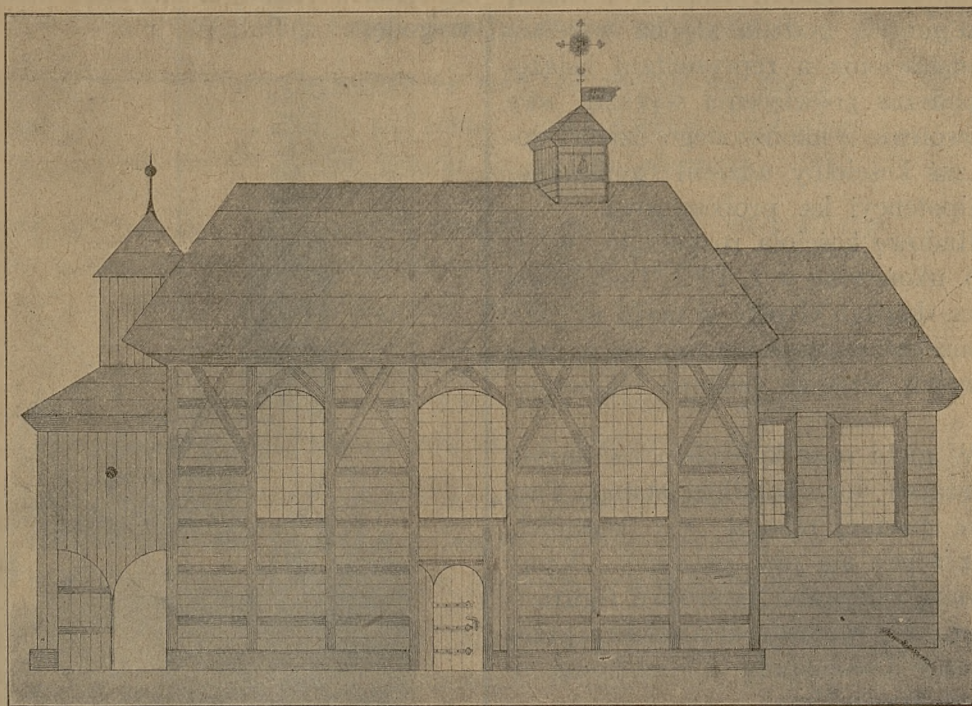
Ks. proboszcz Julian Rejewski z Jankowa Zaleśnego.

Całe znacznie wyniesione a pośród niego jeszcze więcej wywyższony wielki ołtarz z obrazem Matki Boskiej, cały pełen złoceń i kolorów. Przechodzi już w renesans (jak i boczne), bo surowa prostota ściśle romańskiego styl nie licowałby z całym kościoła charakterem.

Na tle wiśniowym widnieje gwiazd dwanaście apokaliptycznych, a wota tu umieszczone snać świadczą o cudach zdziałanych. Wyraz twarzy Matki Boskiej zupełnie osobliwy bardzo piękny a dziwnie fascynujący. Byłoby ciekawe wypośrodkować, jakim sposobem dostał się ten obraz tu dotąd i wogóle zbadać jego historyę. Niestety w aktach kościelnych niema o nim wzmianki. Pomiędzy ludem legenda krąży, że obraz ten niegdyś znajdował się w kościółku w Wierzbicie (par. Odolanowskiej), skąd po spłonięciu kościoła przeniesiono go do Jankowa.

W kościele panuje światło wesołe i łagodne wpadające przez różnobarwne szyby malowanych okien, darowane przez hojnych ofiarodawców ks. proboszcza Rejewskiego, Bractwo Matek chrześcijańskich i rodzinę Kaczmarzów.

Tak to cały kościół wywiera wrażenie artystycznie skończone i doskonałe swą jednolitością tonu, swą istotną swobodnością i swojskością. Jeżeli kościół nie ma być cackiem muzealnem ani studyum architektonicznem, tylko ma mieć cel praktyczny, podnosić ducha do Boga: to w stosunku do ludu naszego kościół jankowski spełnia swe zadanie wprost idealnie. Zdaleka już panuje nad całą okolicą, a jego białe mury świecą na całą parafię, jego zegar i dzwony w dalekim obrębie zwiastują ludowi bliskość i opiekę Domu Bożego.



Stary kościół w Jankowie Zaleśnym.

Obraz Matki Boskiej przedstawia pewną odmianę Częstochowskiej. Matka Boska jest czarna i ma na twarzy ranę czerwoną. Na ręku trzyma Dzieciątko Jezus o typie wyraźnie moskiewskim. Zdobi ją złota sukienka.

Do zupełnego ukończenia dzieła należy jeszcze odmalowanie kościoła tudzież umieszczenie organ, których to prac nie można przedsięwziąć aż

kościół nie wyschnie całkowicie. Ale da Bóg doczekać, za lat kilka będziemy oglądali i to i tamto.

Trzeba przyznać, że tak patron trzona w 20 gazet ofiarowanych hojnym sposobem przez redakcye. Tutaj czytelnia ludowa. Ale największem dobrodziejstwem sala ta jest dla dzieci



Nowy kościół w Jankowie Zaleśnym.

jak i parafianie przy budowie pozostawili zupełnie wolną rękę ks. proboszczowi. Kamera książęca z wielką uprzejmością godziła się na wszelkie przedstawienia a reprezentant książęcy podczas poświęcenia wyraził swe zadowolenie z ukończonego dzieła; dozór zaś kościelny udzielił generalnej plenipotencyi ks. proboszczowi.

Budowę kościoła rozpoczęto w r. 1905, ukończono w r. 1907. Dedykował go ks. dziekan Grośty w maju r. 1907, a konsekracyi spodziewamy się w roku bieżącym przez ks. biskupa Likowskiego.

W głębi poza kościołem na starym cmentarzu dom katolicki stanął. Tam gdzie dawniej mieścił się kościółek, teraz ściele się plac obszerny zdobny w trawę i drzewa. Na środku figura ś Józefa się wznosi, ofiarowana przez rodzinę Kaczmarzów z Swiakowa, okolona trawnikiem.

W domu katolickim mieści się wielka sala na 400 osób. Tam odbywają się zebrania bractw i towarzystw, jak bractwa św. Józefa, arcybractwa Matek chrześcijańskich, kółek Różańcowych oraz towarzystwa Robotników, kółka rolniczego. Tutaj również mieści się pierwsza wiejska czytelnia, zaopatrzona pobierających naukę przygotowawczą. Dotychczas musiały ziębnąć w kościele, teraz w ciepłej sali mają wszelką wygodę.



Nowy kościół i nowe probostwo w Jankowie Zaleśnym.

Oprócz tego znajduje się tu wikaryat oraz mieszkanie dla organisty.

Tak Janków przedstawia już z zewnątrz typ nowej postępowej parafii, w której kwitnie praca duszpasterska, gdzie proboszcz i parafianie starają się wspólnie o większą chwałę Bożą.

Ks. K. J. Kantak.

Zaprawdę, jako słońce światość swoję traci, gdy za chmurę zajdzie, tak rozum ludzki od zbytków tępieje.

Jan Kochanowski.

* * *

Rychlej się uczeń u tego mistrza nauczy, na którego robotę patrzy, niżli u tego, który o robocie mówi.

Piotr Skarga.

* * *

Uczucie wzbudza wyobraźnia. Czuj żywo, a pojęcia twoje będą błyskawicy podobne.

Gregorz Piramowicz.

* * *

Nie czytuj tych ksiąg, z których gadać śmiele;
Ale te, z których czynić można wiele.

Fr. Karpiński.

* * *

Nie to dobro ojczyzny, wielorakiemi dowcipu wymysłami odbierać czas rzeczom i rzecz czasowi, lecz to, co potrzebne, prędko chcieć, co dobre prędzej uznawać, a co najlepszego — jak najprędzej wykonać.

Stanisław Lubomirski.

* * *

Spoczynek jest występkiem; wszystkie bez roboty
Nie warte cnót imienia próżnujące cnoty.

Adam Naruszewicz.

Nie drzemże, czujże w sobie, bo Pan takie sługi błogosławi, które zawżdy znajdzie czujące u drzwi swoich.

Mikołaj Rej.

Jan Kasprowicz. „Chrystus“.

W ogrodzie oliwnym.*)

„Ojcze! jeśli chcesz, przenieś ten kielich odemnie. Ale niemoja wola, ale Twoja wola niech się stanie“.
Ś-ty Łukasz XXII. 42.

Tedy szedł, spragnion spokoju i chłodu,
Gdy wre mu serce, gdy dusza się pali,
Do oliwnego z uczniami ogrodu.

Tutaj nad brzegiem Kidronowej fali,
Pod drzew zielonem, bywało, sklepieniem
Częstokroć siada i cicho się żali

Drzewom i wodzie, co serdecznem drzeniem
Liści i fali z prorokiem się łączą —
Z jego nadzieją, i z jego cierpieniem

Tutaj się myśli zawiłe rozplączą:
Ich burze zmienią się w pogodne świty,
Dusza do marzeń o słońcu jest rączą.

Lecz dziś daremnie ulatać w błękity
Miesięcznej nocy, choć tak srebną ciszę
Leje na cedry i oliwek szczyty.

Dziś, choć się fala tak wdzięcznie kołysze
I tak powabnie zaleca swe wdzięki,
Mistrz nie odpowie: „Szumiej dalej! słyszę!

Dziś, choć mu szepce natłok lilii miękki:
„Pij! wszak dla ciebie ronimy twe wonie“,
Mistrz po ich kielich nie wyciągnie ręki...

Dzisiaj Mistrz cały w swej boleści tonie,
Do krwi mu serce szarpią przeczuć kleszcze
Aż krople krwawe wystąpią na skronie.

Spojrzy ku miastu, nad miastem złowieszcze
Widzi — w oddali zwieszają się chmury:
Jutro ogniste posypią się deszcze.

Na Jeruzalem na syońskie mury
Krwawy się strumień pożarów rozleje...
Oto już błyska.. oto płomień bury

Strzela ku niebu, że na niebie dnieje,
Choć noc posępna wypełnia przestworze...
Walą się chmury, tłum smagany zieje,

Woła na zbawcę... lecz znaleść nie może...
Żył — wczoraj! Tyr-by i Sydon słuchały,
A Jeruzalem... Boże!... Boże!... Boże!...

Spojrzy za miasto, gdzie się mgły zwieszały
Srebrne od blasków, które księżyć wplata
W ich przędzę nikłą, że zdaje się cały

We mgłach rozpływać — tak, że jego szata
Ze mgły i srebra kryje wszystką ziemię —
A w mgłach i blaskach tych srebrnych... Golgota!

Miejsce straceńców!... A tam dołem drzemie,
Boże! gwiaździsta konstelacya krzyża...
I ziarno boskie, i szlachetne siemię,

Co swe gałęzie nad światem rozszerza,
Czuje, jak krople mu cieką z oblicza,
Drży przed tem widmem, które doń się zbliża.

Okryte w grobu pomrok tajemniczy,
I patrząc w niebo zajęczy boleśnie:
„Ojcze! odejmij ten kielich goryczy!“

Potem ku uczniom, pogrążonym we śnie,
Zwróci się, prosząc: „Ach czuwajcie ze mną;
Smętna ma dusza! przygniotły ją cieśnie!“

O ty boleści! Zbawca, co nad ciemną
Cedrę, sterczącą na najstromszym grzbiecie
Gór libanońskich, wyrósłszy tajemną

Ducha potęgą lał balsam po świecie;
Czerpie ochłodę zbyt płytkiej głębiny
Serc, by je w odźwięk spieniły zamiecie!

U jałowcowej to cedra krzewiny
Szuka schronienia, gdy burza się rusza,
Ulg ranny orzeł u drobnej ptaszyny...

„Czuwajcie ze mną, bo smętna ma dusza!
Zbliża się koniec... wzdyć czuję... nie długo
Życiem załętni ta posępna głusza;

Przyjdą ci wszyscy, co wczaraj mnie strugą
Kwiatów zlewali, hosanna! wołali,
Że echo smugi podawały smugom —

Na krzyż przybiją gwoździami ze stali...
Ach! a na usta jeden z was mi złoży
Żar pocałunku, który zdradą — pali...“

Gdy się tak skarży przed płazem syn boży,
Zaszczękną bronie, zapłoną pochodnie
I ogród zleją blaskiem krwawej zorzy:

To tłum się zbliża, który mierzy zbrodnie
Nie zakrwawionych bratnich serc sromotą,
Lecz własnem sercem, bijącem wyrodnie...

„Gdzie mistrz, Judaszu? wszakże wziąłeś złoto?“
A w tem go Judasz całunkiem przywita:
„Bądź pozdrowiony, mój mistrzu!... Ten oto!...“

*) Patrz: albumową rycinę.



Wyspa ciszy.

Dla nawykłego do kulturalnych obyczajów i zwyczajów Europejczyka, opowieść o życiu wewnętrznem na wyspie Saint-Kilda wygląda jak baśń z „Tysiąca i jednej nocy.'' A jednak wiadomo, że wyspa ta należy do grupy wysp szkockich, zwanych Hebrydami; położona jest o mil sześćdziesiąt od wyspy Harris, ostatniej z grupy Hebryd wewnętrznych, zwanych w Szkocyi pospolicie ogólnem mianem „Wyspy.'' Zdawałoby się, że jest stworzona umyślnie dla miłośników malowniczej samotności i cichego życia.

Siedem mil obwodu, trzy mile szerokości w części najobszerniejszej, a dwie mile w innych częściach, grunt nieurodzajny, całe terytoryum wyglądające jak szkielet śmiałego rysunku, skalisty mur wysoki w jednem tylko miejscu przedarty małym portem, na którego straży rozciągnęła się wyspa Dun, niby pies spoczywający: — oto, jak przedstawia się na zewnątrz wyspa Saint-Kilda, wielki blok granitowy wśród dzikiego morza. Skały jednak pokryte są zielenią bogatą w odcienia, a to sprawia, że ogólny wygląd wyspy wywiera miłe wrażenie.

Podróżny wszakże, który pomimo gwałtowności srożących się tam wichrów, chciałby przedostać się do wnętrza wyspy, spotkałby się z otwartą nieprzyjaźnią Saint - Kildyjczyków, których odraza do obcych przechodzi wszelkie pojęcie. Żyją oni na swojej wyspie, zupełnie odcięci od świata, zadawalając się zupełnie pierwotnem życiem społecznem, bez najmniejszego pojęcia o tem, co się dziać może na reszcie globu i zupełnie się o to nie troszcząc. Bez potrzeb, bez pragnień, prawie bez żadnej kultury umysłowej, są szczęśliwi, lub przynajmniej uważają się za szczęśliwych. A w końcu, czy to nie na jedno wychodzi?

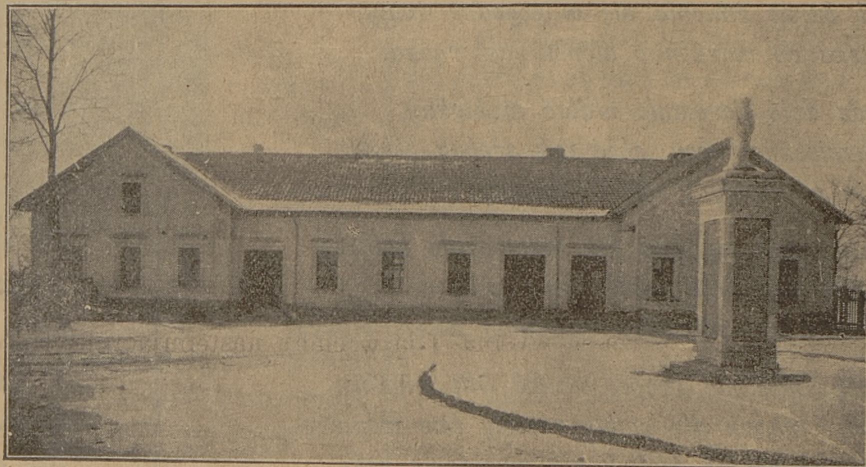
Cztery wzgórza, mające od siedmiuset do tysiąca trzystu stóp wysokości wznoszą się w rozmaitych punktach wyspy. Pod najwyższem wzgórzem rozłożyła się wioska w kształcie księżyca, zwróconego ku zatoce.

Niewiele potrzeba trudu, aby zwiedzić tę wioskę. Składa się ona z osiemnastu domków, oddalonych od siebie o piętnaście do dwudziestu kroków, mających sześć do siedmiu stóp wysokości. Każdy ma drzwi i dwa okna. Kościół protestancki ma okien cztery, to cały zbytek świątyni. Nigdzie ani śladu poczucia artystycznego lub starania się o jaką taką wygodę.

Przed rokiem 1862 nie można by było znaleźć na całej wyspie ani jednego mebla lub sprzętu. W 1877 r. jeden tylko pastor posiadał — widelec!

Dzisiaj jeszcze w tych lilipucich chałupkach, ze ścianami zczerniałemi od sadzy, mieszczą się tylko kufry, przechowujące odzież niedzielną, łożyska ze słomy rozłożonej na chropawej podłodze, pokryte kocami, pospolite krosna do tkania i kądziele do przędzenia wełny. Grube powrozy zwisają z powały, zawieszają na nich żołądki gęsie, zawierające konserwy i tłuszcze.

Pożywienie równie skromne jak urządzenie mieszkań, chociaż nieco bardziej urozmaicone, składa się z baraniny, jaj, mięsa ptaka, zwanego „fulmar,'' ciasta i placków owsianych, mleka i kartofli.



Dom katolicki w Jankowie Zaleśnym.
(Patrz artykuł p. t.: „Nowy Kościół w Jankowie Zaleśnym pod Raszkowem.")

Ów ptak zwany „fulmar,'' należy do rodzaju morskiego ptactwa, jest podobny do mewy, przebywa w okolicy wyspy i karmi się ciałem żywych wielorybów. Ostrym dziobem wyrywa im mięso z grzbietu. To też ma silny odor rybi, nie do zniesienia dla podniebień nieco delikatniejszych.

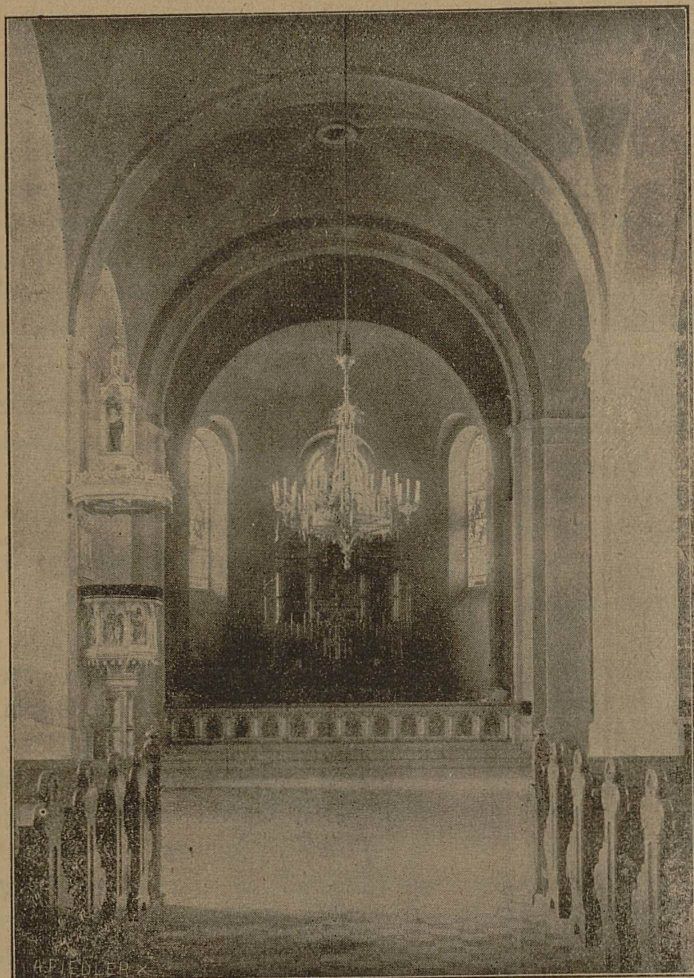
Saint-Kildyjczycy mało się trudnią rybołówstwem; nie podobna im bowiem wypływać na pełne morze w swych maleńkich łódkach, któremi tylko badać mogą jamy wodne w rozpadlinach skalnych. Ryby zatem nie są przedmiotem ich pożywienia. Są oni zresztą trzeźwi i umiarkowani; jedyną ich łakocią jest cukier, którego potrzebę instynktownie czują. Pijaństwo nieznane jest na całej wyspie; każda jednak rodzina posiada butelkę whisky, przechowywaną starannie na wypadek choroby.

Polowanie na młode „fulmary'' jest dozwolone tylko w jednym tygodniu sierpnia. Wszyscy mieszkańcy biorą w niem udział, a łup dzieli się równo między rodziny. Wówczas to prawdziwa hekatomba tych ptaków; najmniej dwadzieścia tysięcy ich pada i tworzy główny zapas na rok cały.

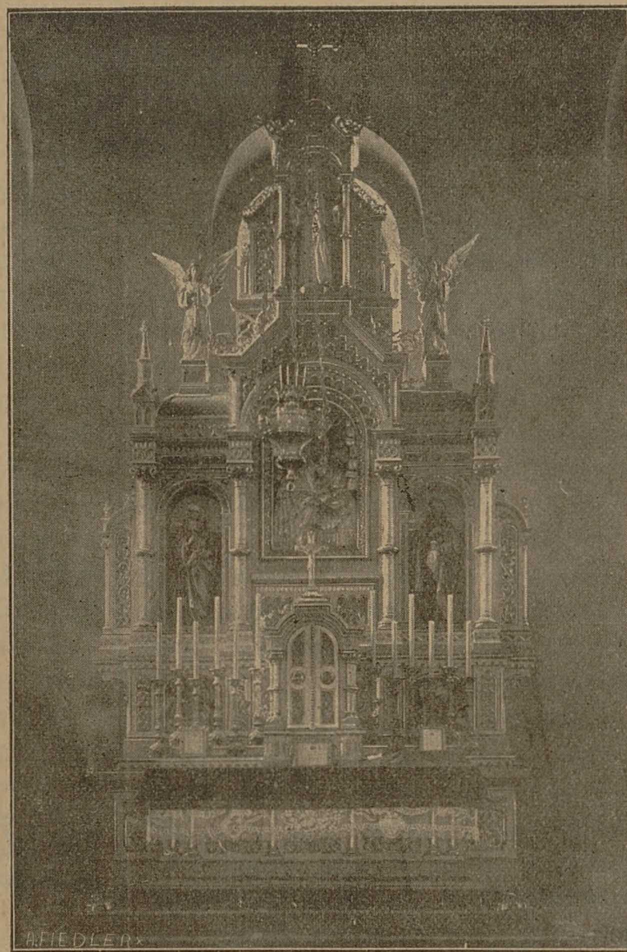
Nietylko polowania u Saint-Kildyjczyków są wspólne; praca ich podlega tym samym prawidłom wspólności. Z rana „starzy'' naradzają się i ustalają program pracy na dzień cały. Wielkim krzykiem program ten ogłaszany bywa we wsi i każdy z mieszkańców wykonywa swój dział pracy, równocześnie z innymi. — Zysk dzielony jest pod kontrolą „starców." — Niema zresztą żadnej administracyi zwierzchniczej: mieszkańcy załatwiają swoje sprawy, jak im się podoba. Żenią się tylko między sobą; jeżeli niema pastora, obchodzą się bez niego; najstarszy wiekiem zastępuje wówczas jego miejsce.

Odraza Saint-Kildyjczyków do obcych przybrała rozmiary chorobliwe i wywołała ciekawą słabość, dotąd niewyjaśnioną. Wyspa jest własnością pewnego lorda szkockiego, którego rządca rok rocznie przybywa na trzy dni na wyspę Saint-Kilda, by odebrać czynsze i dostarczyć wyspiarzom najniezbędniejszych rzeczy. Czynsze dzierżawne opłacane są w naturze, kupna odbywają się w drodze zamiany, gdyż pieniądz jest tu nieznany prawie. Otóż, gdy z wyspy spostrzegą okręt, wiozący rządcę, Saint-Kildyjczycy, popadają w chorobę szczególną, zwaną przez lekarzy: „chorobą ośmiu dni.'' Cała ludność choruje, a dzieci, mające mniej niż miesiąc, giną.

Ten fakt szczególny tłómaczą niektórzy tragicznem wspomnieniem epidemii ospy, zawleczonej na wyspę w roku 1730 przez załogę jakiegoś okrętu. Wówczas tylko sześciu dorosłych i czworo dzieci ocalało. To może do pewnego stopnia wytłómaczyć śmier-



Część krzyża z widokiem na wielki ołtarz i ambonę w nowym kościele w Jankowie Zaleśnym.



Wielki ołtarz w nowym kościele w Jankowie Zaleśnym.

Patrz artykuł p. t.: „Nowy kościół w Jankowie Zaleśnym pod Raszkowem“.

telną trwogę, jaką obudza w wyspiarzach widok okrętu. Lecz okręt, wiozący lordowskiego pełnomocnika, musi być przyjęty, pominąwszy już bowiem prawo właściciela do wstępu na wyspę, mieszkańcy jej potrzebują koniecznie mąki owsianej, którą im rządca przywozi, aby uzupełnić niedostateczną produkcyę wyspy; potrzebują skór, których im dostarcza, a których na wyspie dostać nie można. To dla wyspiarzy jedyna także sposobność do zbytu koców wełnianych, które fabrykują w zimie, i oliwy z fulmarów. Ta cuchnąca oliwa zawarta jest w żołądku ptaka; jest to jego broń, nią bowiem pryska w twarz czyhających nań myśliwych. Pomimo swej odrażającej woni, oliwa ta służy do oświetlania.

Saint-Kildyjczycy są niezmiernie zababonni. Wierzą w czary i czarownice. Odzienia noszą tylko błękitne, nigdy nic zielonego, albowiem niewiasty zielone (najady) nie pozwalają na ten kolor w swem państwie.

Poza wsią znajduje się duży, nieociosany kamień. Zowią go „kamieniem mądrości.“ Ktokolwiek usiądzie na nim w pierwszy dzień jakiej pory roku, uzyskuje natychmiast dar jasnowidzenia i może przepowiadać wszystkie wypadki, które wydarzyć się mają w ciągu następujących trzech miesięcy.

Bujna wyobraźnia wyspiarzy unosi ich jeszcze dalej. Wierzą w sobowtórną wróżbę rychłej śmierci. To przeżytek dawnych wierzeń celtyjskich i germańskich. Zjawisko to nazywali Germanie: sobowtórnym przechodniem.

Halucynacya polega na tem, że się widzi dwie istoty zupełnie podobne, równocześnie i w tem samem miejscu. Saint-Kildyjczyk spostrzega nagle swój sobowtór, z tymi samymi rysami i odzieżą. Sobowtór idzie obok niego, zasiada do stołu, towarzyszy mu na pole, naśladuje jego ruchy. W kilka dni później człowiek ostrzeżony, zachorowuje obłożnie i umiera.

Jeden z wyspiarzy powziął raz myśl wzięcia swego odzienia na odwrót; sobowtór natychmiast uczynił to samo. Inny, który miał odzienie rozdarte, taką samą dziurę ujrzał na ubraniu sobowtóra.

Z takich zabobonów wynikają rzeczywiście dziwaczne zwyczaje. Narzeczony lub narzeczona, zmarli przed ślubem, umieszczeni są pod wydrążonym na wylot komieniem, a ten z narzeczonych, który pozostał przy życiu, powinien dotykać ręki trupa, w przeciwnym bowiem razie nie będzie mógł już nigdy zawrzeć małżeńskiego związku i do śmierci dźwigać będzie ciężką na sobie klątwę.

Obrzęd ślubny przybiera na wyspie Saint-Kilda szczególniejsze formy.

Na dni osiem przed obrzędem, krewni i przyjaciele gromadzą się na ucztę. W rzeczywistości wszyscy mieszkańcy wyspy tworzą rodzinę, a związki małżeńskie zawierane bywają pomiędzy krewnymi, nigdy bowiem żaden Saint-Kildyjczyk nie śmiałby pojąć małżonki poza obrębem wyspy. Stałby się pariasem, odepchniętym przez wszystkich.

Na uczcie weselnej mężczyźni grupują się po jednej stronie, kobiety po drugiej. Niema żadnej wrzawy, ani gadań, ani śpiewów, — Saint-Kilda jest wyspą milczenia i ciszy.

Sam obrzęd ślubny odbywa się w kościele, dokąd cały orszak podąża. Jeśli pastora niema, co się często zdarza, najstarszy z mężczyzn odprawia modlitwy.

Ale przedtem pan młody musi publicznie odbyć próbę swojej miłości: musi wdrapać się na bardzo stromą skałę, trzymać się tam w postawie stojącej na lewej pięcie, dzierżąc obu rękami nogę prawą. Jeśli mu się to po-

wiedzie, to znak, że małżeństwo będzie bardzo szczęśliwe.

Odpoczynek niedzielny przestrzegany jest ściśle. W niedzielę Saint-Kildyjczycy nie mogą się ani myć, ani czerpać wody z jednej studni, ani gotować. Wysłuchują trzech nabożeństw w wielkiem skupieniu; mężczyźni siedzą w świątyni póty, póki wszystkie kobiety nie wyjdą.

Biedna to świątynia! odpychająco brudna z jedyną kamienną posadzką pośrodku; boczne nawy służą za cmentarz. To też nie wiele jest miejsca dla umarłych; wygrzebują dawnych, by pomieścić nowych; kości szkieletów walają się wszędzie, co nie dodaje uroku świątyni...

Pogrzeby odbywają się natychmiast w dzień śmierci; żałoba bardzo surowa, wzbrania najbliższym pracować przez cały tydzień.

Saint-Kilda nie posiada szkoły; bo na całej wyspie, w osiemnastu chałupach, jest tylko osiem rodzin, a cała ludność liczy 72 głów. Pastor — jeśli się znajdzie taki, któryby chciał przyjąć tę parafię — kieruje wyłącznie wychowaniem elementarnem dzieci. Łączy on zarazem funkcye lekarza i sędziego. Jeśli pastora niema, we wszystkiem tem zastępuje go — starzec.

Poczta w Saint-Kilda odznacza się przynajmniej oryginalnością. Ci — bardzo zresztą nieliczni — którzy chcieliby skomunikować się z lądem, składają swoje listy w butelkę, tę umieszczają w małą skrzynkę i puszczają to wszystko na wody... Fale unoszą w dal skrzynkę, która, jeśli zdoła i kiedy zdoła, wydostaje się na brzeg... Odpowiedzi nie są zbyt śpieszne i pewne...

Ale mieszkaniec wyspy nie troszczy się o to zgoła. Każdy tu sobie wystarcza. Każdy jest z zawodu szewcem, tkaczem, krawcem. Na wiosnę, ponieważ nożyce tu są nieznane, wyrywają rękami wełnę z grzbietów owiec. Nieszczęśliwe te stworzenia są tak źle żywione w zimie, że ten barbarzyński sposób strzyżenia wełny staje się łatwym. Kobiety przędą wełnę, mężczyźni ją tkają i sporządzają nędzne odzienia, które zaledwie okrywają ich ciała. Mężczyźni noszą trzewiki skórzane i pończochy sukienne; kobiety nawet w zimie chodzą boso i bez pończoch. Pozbawione są wszelkiej zalotności; staniki spinają zwykłą haftką na codzień, w niedzielę zaś broszą miedzianą, sporządzoną ze starego pieniądza.

Wyspa nie posiada innej fauny, prócz morskich ptaków, krów — jedna na rodzinę — owiec i psów, barwy śmietankowej. Jedynem dzikiem zwierzęciem jest mysz. Myszy jest moc wielka. Koni niema wcale; zastępują je — kobiety. One to znoszą wysuszoną trawę, zebraną na najbardziej stromych stokach skalnych. Ta trawa stanowi jedyne paliwo na wyspie, na której z powodu gwałtowności wichrów, żadne drzewo nie rośnie.

Kobiety na wyspie mają trudne zadanie; najcięższe roboty do nich należą; ze zdobyczy feminizmu nie uzyskały dotąd ani jednej. One to rozpalonymi kamieniami przepalają powłokę ziarna, one łuszczą jęczmień i owies i mielą je na ręcznych młynkach i t. d.

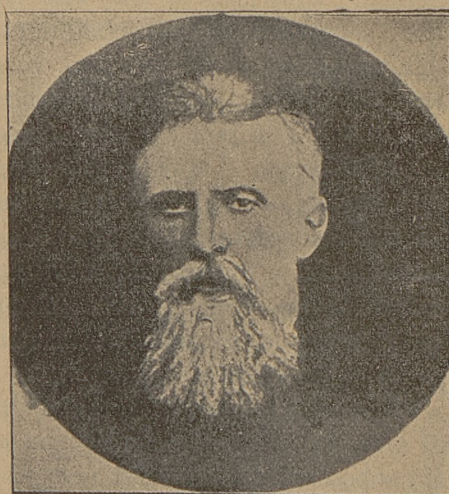
A jednak nikt się tam na swój los nie użala, każdy czuje się zadowolony wśród tej ciszy, której nie mąci żadne hasło walki o byt...

I pomyśleć, że wyspa Saint-Kilda, ta wyspa spokoju i ciszy, leży w Europie?!



Z teatru.

Sobotni benefis p. Adolfa Poleńskiego napełnił widownię teatru naszego po brzegi. „Gorąca krew'', sztuka bardzo wesoła, tudzież doskonała gra benefisanta i reszty artystów, nadzwyczaj się podobała publiczności. Benefisanta zasypano kwiatami i innemi bardziej materyalnemi oznakami sympatyi i uznania.

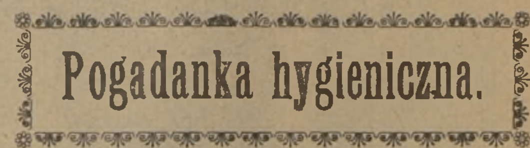


Aleksander Świętochowski,
autor dramatu „Piękna".

W sobotę d. 11 bm. będzie benefis p. Izabeli Kozłowskiej. Artystka wybrała na swój wieczór honorowy dramat Aleksandra Świętochowskiego p. t. „Piękna''.

Tak samo serdecznie, jak winszowaliśmy panu Poleńskiemu benefisowego sukcesu, tak i pani Kozłowskiej życzymy najlepszego moralnego i materyalnego powodzenia. Zasługuje na to z wszech miar.

Dyrekcya sceny dla uświetnienia wieczoru sobotniego zaprosiła *Adolfa Nowaczyńskiego,* cenionego powszechnie autora wielu sztuk i bystrego krytyka literackiego, który wygłosi przed przedstawieniem *„Pięknej''* konferencyę literacką o twórczości Świętochowskiego.



Pogadanka hygieniczna.

Sen dzieci.

Sen odgrywa bardzo ważną rolę w życiu człowieka, a szczególnie w czasie najwcześniejszego rozwoju. Ograniczając znacznie wszelkie czynności życiowe, daje organizmowi najlepszy wypoczynek i pokrzepienie, nadając świeżą energię systemowi nerwowemu.

Sen dziecka w pierwszych tygodniach życia jest głęboki i niemal ciągły: śpi ono prawie bez przerwy, budząc się jedynie dla otrzymania pokarmu, poczem zasypia znowu.

W końcu pierwszego roku życia, wraz z rozwojem władz duchowych, potrzeba snu zmniejsza się znacznie — dziecko sypia około 16 godzin na dobę. W drugim roku krócej nieco; w ogóle wszakże do szóstego roku życia potrzebuje dziecko najmniej dwunastu godzin do snu na dobę, jeśli jest silne i zdrowe, słabowite bowiem i anemiczne sypiać powinny w okresie tym godzin 15 do 16-tu.

Zdrowe dzieci zasypiają łatwo i prędko: niemowlęta zwykle przy piersi; starsze zaś dzieci — najlepiej przyuczać do zasypiania bez sposobów takich jak śpiewanie, bujanie, kołysanie i t. p.

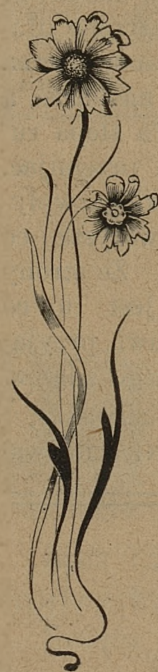
Sposoby te działają hypnotycznie, a zatem w sposób nienaturalny, więc też szkodliwy. Oprócz tego kołysanie działa szkodliwie na nieukształcony, miękki mózg niemowlęcia.

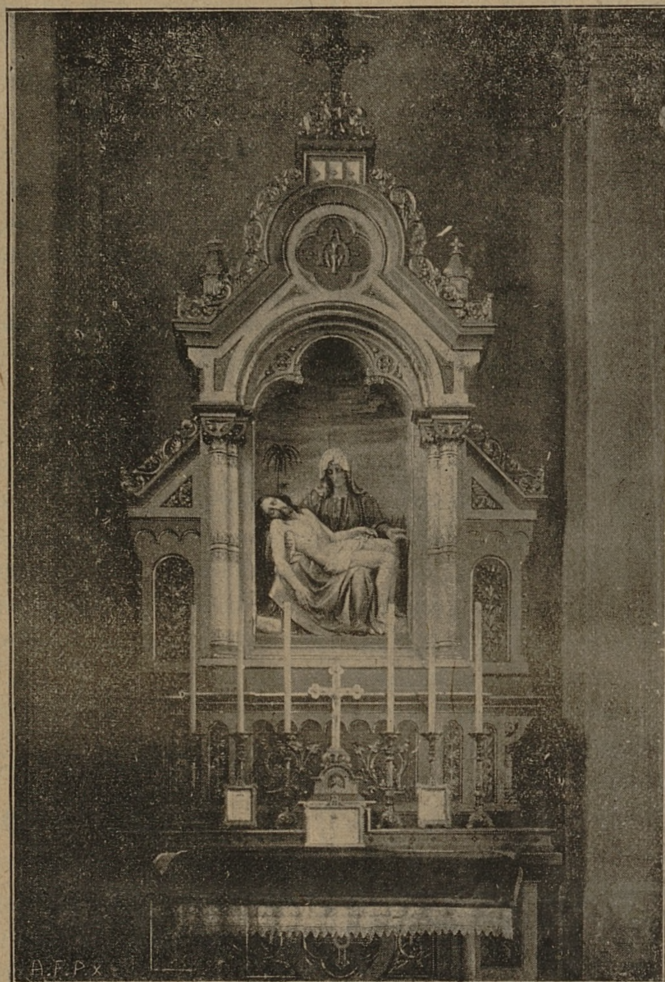
Sen dziecka zdrowego powinien być spokojny i równy — sen niespokojny, przerywany, jest oznaką niezdrowia: zaburzeń w trawieniu najczęściej, lub też stanu gorączkowego. Należy bezwarunkowo zbadać niezwłocznie przyczynę.

Nie należy układać dziecka na spoczynek bezpośrednio po przyjęciu posiłku. Trawienie w czasie snu jest mocno upośledzone — zalegający w żołądku pokarm ulega rozkładowi i szkodliwie wpływa na cały organizm

śpiącego dziecka — powoduje bicie serca, utrudnia oddychanie i wskutek tego sprowadza sny niespokojne.

Częstokroć jednak niespokojny sen powodują przyczyny mniej groźne i do usunięcia łatwiejsze: gdy dziecko do snu ubrane jest za ciepło, przykryte zbyt ciepłą kołderką, gdy w pokoju







Ołtarz Matki Boskiej Bolesnej w nowym kościele w Jankowie Zaleśnym.

(Patrz artykuł p. t.: „Nowy kościół w Jankowie Zaleśnym pod Raszkowem.)

dziecinnym, nieprzewietrzonym przed ułożeniem dziecka na spoczynek, powietrze jest zbyt duszne i do oddychania ciężkie, przy temperaturze zbyt wysokiej, wreszcie gdy dziecko niepokojone jest przez owady w nieporządnie utrzymanem łóżeczku — nie może ono spać spokojnie.

Usuńmy przeszkody, przykrywajmy dziecko lżejszą kołderką, przewietrzajmy dobrze pokój dziecinny przed ułożeniem go do snu, utrzymujmy w nieposzlakowanej czystości łóżeczko i pościel dziecka, kładźmy mu na noc zawsze świeżą bieliznę, a osiągniemy napewno cel pożądany — sen dziecka stanie się spokojny i wzmacniający, a twarzyczka jego — z bladej i mizernej poprzednio — stanie się czerstwą i zdrową.

Sen jest wypoczynkiem organizmu niejako — nabraniem nowych sił życiowych — obowiązkiem więc naszym jest dostarczanie dzieciom wszelkich warunków do zdrowego, posilnego snu potrzebnych. Pamiętajmy, że najważniejsze z tych warunków to: świeże powietrze, temperatura odpowiednia, ubranie nocne i kołderka umiarkowanie ciepła, wreszcie czystość wzorowa.

Ciało dziecka podczas snu nie powinno być niczem krępowane, żadnemi powijakami ściskane; zwracajmy też baczną uwagę na to, czy pieluszki niemowląt są suche i równo ułożone.

Najzdrowiej klaść dziecko na plecach z nóżkami wyciągniętemi równo lub też na prawym boku. Nie należy też nigdy dziecka okrywać kołderką pod samą szyję — rączki zawsze na kołderce być powinny.

Dzieci małe, które i w dzień jeszcze sypiają, powinny być i do tego dziennego snu również rozebrane zupełnie — sypianie bowiem w ubraniu bardzo jest niezdrowe — ciało potnieje, powietrze nie ma dostatecznego dostępu, wskutek czego sen jest krótszy i nie tak spokojny.

Najodpowiedniejszą porą do udania się na spoczynek dla dzieci, które już w dzień nie sypiają, jest godzina ósma wieczorem. Dzieci zdrowe i posiadające warunki dobrego snu, spać powinny do godziny ósmej rano przynajmniej.

Bardzo rozpowszechnione jest zdanie, że długie spanie dzieci jest jakoby niezdrowe, że jest brzydkiem nałogiem, że nawet kilkuletnie dzieci po siedmiu godzinach snu budzić należy; ma to być jakoby zbawiennem hartowaniem.

Zdanie to błędne; dzieciom małym, aż do czasu gdy do szkoły chodzić zaczną, powinniśmy pozwolić spać ile chcą — hartowanie ciała dzieci nie powinno bezwarunkowo dotyczyć ich snu. Przeciwnie, sen dzieci nienaruszalnym dla nas być powinien — nie przerywajmy go nigdy, starajmy się raczej zapewnić dzieciom warunki, pozwalające im spać jak najdłużej.

„Jak długo człowiek spać powinien, należy to wogóle od budowy jego ciała, a w szczególności od układu nerwowego“, mówi dr. Brücke. A dalej tenże uczony twierdzi: „natury, potrzebujące wiele snu, bynajmniej nie są w życiu codziennem ospalemi. Potrzeba długiego snu, jak wskazuje doświadczenie, może się łączyć z najwyższemi zdolnościami umysłowemi i najdzielniejszą, najenergiczniejszą działalnością po wyspaniu się“.

Pozostawmy więc dzieciom naszym swobodę snu — a otrzymane wyniki przekonają nas dostatecznie o słabości powyższych wywodów.

Gdy zaś dziecko z posilnego i dowolnie długiego snu ocknie się nareszcie, nie pozwalajmy mu pozostawać długo w łóżku, przeciwnie skłońmy je do natychmiastowego ubrania się. Leżenie w łóżku po wyspaniu się jest już gnuśnieniem, ze względów pedagogicznych wielce nagannem.

W końcu zwróćmy jeszcze uwagę na łóżeczko dziecinne: kołyskę zarzucić powinniśmy stanowczo, dla przyczyn zaznaczonych już wyżej; zastąpić ją winno bezwarunkowo łóżeczko — najlepiej żelazne z siatką. Pościel składać się winna z materaca włosianego, położonego na twardszym z trawy morskiej i przykrytego prześcieradłem, oraz płótnem gumowem dla porządku. Materace zastąpić może sienniczek, wypchany sianem, często zmienianem. Poduszkę z pierza w lecie powlec można powłoczką skórzaną, na którą obowiązkowo kładzie się poszewkę płócienną lub perkalową. Kołderka szeroka i długa na zimę watowana, na lato flanelowa — opiętą być powinna zawsze czystem prześcieradełkiem.

Pościel dziecinna powinna być codzień wietrzona na słońcu najlepiej, co szczególniej w lecie łatwo uskutecznić się daje, a przynajmniej raz na tydzień trzepana i czyszczona, prześcieradełka zaś i poszewka przynajmniej dwa razy na tydzień zmieniane.

Łóżeczko dziecinne stać powinno tak, aby światło nie padało w oczy dziecka, zdala od okna; nie należy też zastawiać go sprzętami, których wogóle w pokoju dziecinnym wiele być nie powinno.

Ogrodnictwo.

Moda na kwiaty.

(Dokończenie).

To co powiedziano o aurykiach, odnosi się w zmniejszonym stopniu i do pierwiosnków (Primula veris). Modną rośliną była też kamelia, przywieziona przez pewnego jezuitę, Jerzego Camelliusa, z Chin, w roku 1730; ilość jej gatunków i odmian zarówno przez późniejsze zdobycze zamorskie, jak i przez europejskie wyhodowania, doszła wkrótce do wielu setek. Otrzymywanie nowych odmian uskuteczniano głównie w Włoszech, ponieważ w łagodnym ich klimacie nasiona łatwo dojrzewają. Kamelia panowała dość długo, a peryod jej świetności przypada około 1860 roku, kiedy to bukiet zimowy nie miał wartości, jeżeli w nim nie było kamelii. Odtąd szlachetna ta roślina stopniowo traci na wartości; „pozbawiona jest zapachu“, mówią, kręcąc nosem, jak gdyby wszystkie kwiaty woń mieć musiały. Powodem wszakże głównym spospolitowania kamelii, było nadsyłanie jej kwiatów na Północ, z Włoch.

Przy wyliczaniu kwiatów, podlegających modzie, prawie niema potrzeby wymieniać róży, bo można powiedzieć, że ona niejako modzie nie podlega. Jestto niezaprzeczenie królowa kwiatów, posiada własne państwo, w którem panuje; przy swoich jednak przeszło 7000 gatunków z różnych stron świata i odmian wymaga specyalistów, którzy wyłącznie nią się zajmują i jej tylko służą.

Prawdziwa epidemia napadła w nowych czasach Europę w hodowaniu złocieni (Chrysanthemum).

Ilość odmian złocieni — to legion; z wyjątkiem szafirowych i całkiem czarnych, przeszły one całą skalę barw w różnych kombinacyach. Postać mają uderzającą, a w wielkości nadzwyczajne kontrasty; gdy kwiaty jednych mierzą po 6 cali średn. innych mniejsze są, niż stokrotki.

Sprowadzenie złocieni do Europy z Indyi i Chin przypada na lata 1720—1730. Od tej pory istnieją one w hodowli, lecz nie były przedmiotem ubóstwiania. Kult rozpoczął się z chwilą, gdy Japonia wstąpiła w szereg państw ucywilizowanych; ona to doprowadziła te kwiaty do niepodejrzewanej przedtem piękności i urozmaicenia, owszem uczyniła niejako narodowemi. Złocienie mają tam większe znaczenie, niż u nas róże, urządza się przecież święta złocieni, w których nawet dwór przyjmuje udział.

Przywóz tych kwiatów z Japonii wywołał gwałtowne poruszenie w Europie i Ameryce, i wytworzenie nowych odmian, które za sobą pozostawiły nawet japońskie. Tego wszakże znaczenia, co w ciepłym klimacie, u nas mieć one nie mogą: brak nam do tego słońca. Jedynie nieco wcześniejsze odmiany dochodzą w gruncie do rozkwitu, gdy pąki późniejszych warzy zwykle jesienny przymrozek. W Wiedniu już po większej części kwitną doskonale, a hodowla doniczkowa jest tam o wiele łatwiejsza. We Włoszech i Francyi Pol. wydają nawet dojrzałe nasiona, a przez to umożebniają otrzymanie nowych odmian. Nam pozostaje tylko odpowiednia hodowla doniczkowa i ochrona ze szkła na właściwą porę. Wyniki, tym sposobem otrzymane, są wprawdzie uwagi godne, lecz nie dają się porównać z tym przepychem, jaki złocienie rozwijają tam, gdzie w gruncie pod gołem niebem, prawidłowo kwitną i dla tego uwielbienie dla nich Japończyków nie można nazywać ani dzieciństwem, ani śmiesznością.

Rośliną pokojową, właściwie mówiąc, nie staną się złocienie nigdy, gdyż przeszkadza temu prędkie psucie się liści w pokoju. To jest mniej więcej wszystko, co w grubych zarysach można powiedzieć o wpływie mody na państwo kwiatów; pomniejsze rośliny trzeba pominąć, żeby nie pójść za daleko. Obszerny dział literatury w wszystkich prawie językach cywilizowanych, zajmował się w każdym czasie wspomnianemi kwiatami. Kto zatem chce wniknąć głębiej w którą z tych specyalności, może to uczynić.

Jeszcze tylko o jednym objawie mody wypada tu wspomnieć, który z Francyi wyszedł, mianowicie o bukietach na drucie. Przed laty mniej więcej 50-ma, nikomu nie przyszłoby na myśl taki wandalizm popełnić.

Bukiet, wiązanka kwiatów, jest mile widzianym darem przy każdej okoliczności, a możliwie długie jego przechowywanie, pewnego rodzaju litością i zamiłowaniem.

Efemeryczność wyrugowała poezyę. Wprawdzie i długie panowanie bukietów żelaznych może mieć różne przyczyny. — Przedewszystkiem symetrycznej, prawidłowej formy, jakiej moda wymaga, innym sposobem otrzymać niesposób; dla wytwórców zaś kwiatów było to wielkie ułatwienie i głęboko sięgająca oszczędność. Odtąd nie potrzeba było poświęcać lub oszpecać całych roślin. Po za tem bukiet na drutach przez kilka godzin przynajmniej nie zmienia swej postaci, nie więdnie tak łatwo w cieplej ręce, nie brudzi wykwintnych rękawiczek.

Że jednak ta niedorzeczność przeszła i na bukiety wazonowe to już przypisać należy bezmyślności wykonawców, a rutyna zaszła tak daleko, że nawet kwiaty z natury opatrzone długiemi szypułkami i łodygami, obcina się często, by je na drut nawiązać, a łodygi pod nogi rzucić. Ta ślepa rutyna na szczęście zaczyna przemijać. Na mnie moda nigdy wielkiego wpływu nie wywiera; — cenię wszystko co piękne, dla tego, że piękne. Ze strony stanowiska handlowego jest to co prawda błąd, lecz prawdziwi przyjaciele kwiatów są zawsze mego zdania.

Jan Wachowski,
ogrodnik z Niechanowa.

Tęsknota.

Gdy szary zmierzch
Dnia jasność białą zmroczy,
Gdy zcichnie gwar
Strudzone przymknę oczy,
To widzę tak
Wyraźnie, jak na dłoni,
Nasz cichy sad,
Pełen grusz i jabłoni.
I widzę też
Nasz domek miły, biały,
W różowy kwiat
Brzoskwiń spowity cały.
I słyszę szept
Tych kwiatów co o wiośnie
Pod oknem tam
Takie ich mnóstwo rośnie...
I słyszę szept
Brzózki o srebrnej korze
Co złotem lśni,
Gdy ranne płoną zorze.
I słyszę skrzyp
Studzienki tej w ogrodzie,
I świerszczów chór,
Co grają o zachodzie.
O domku mój!
Ty cichy domku drogi,
Czy wrócęż ja
Pod dach twój, w twoje progi?...

Janina Różańska.